

W NUMERZE:

● **PO EGZAMINACH** czyli jak zdawano w tym roku na studia ● **Za wcześnie umierać** młodym poetom ● **Paradoksy nad jeziorem**

LUBLIN

ROK ZAŁOŻENIA 1933

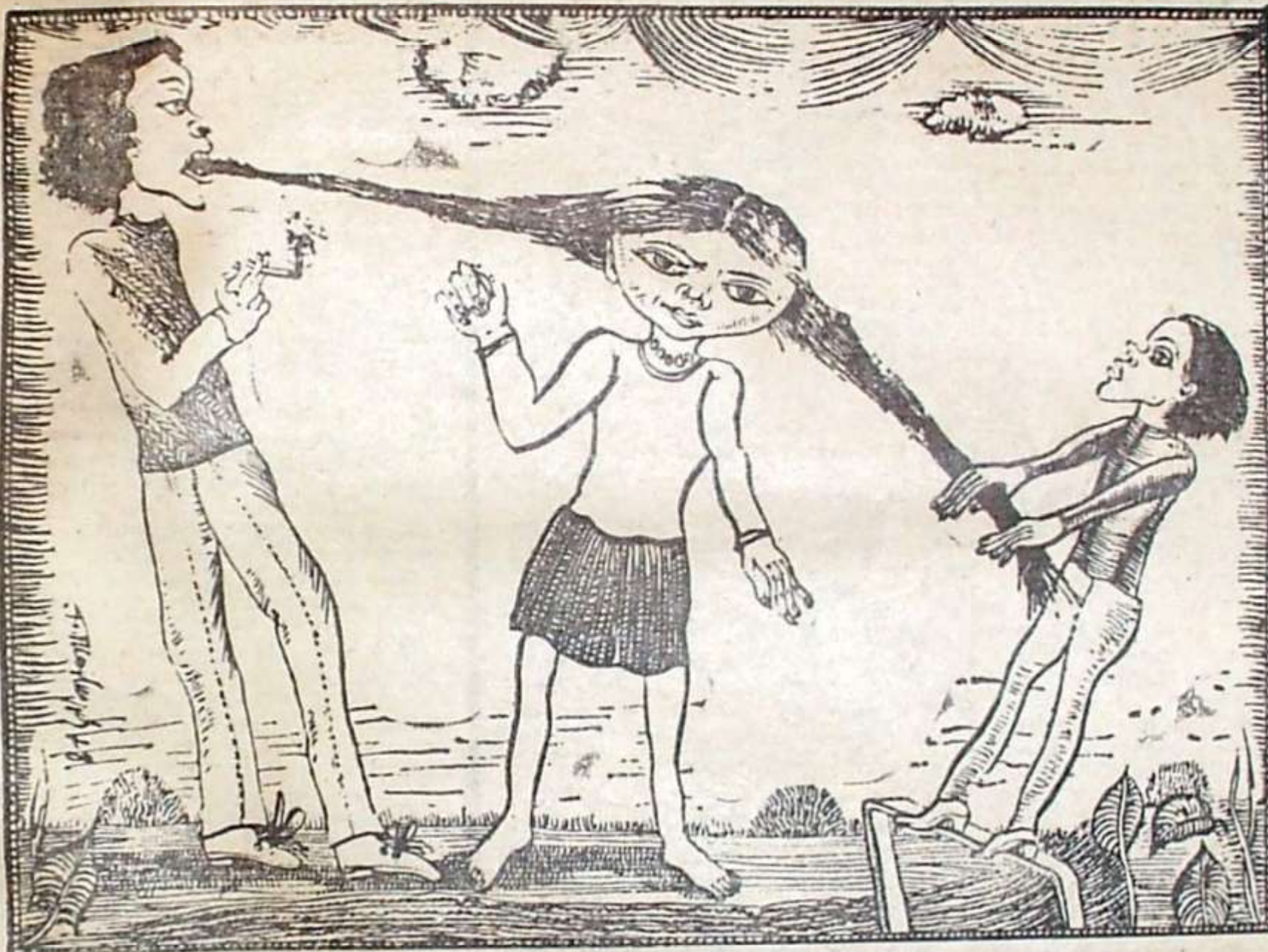
Kamienia

LUBLIN 6 VIII 1978 NR 16 (658)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Rys. Franciszek Maśluszcak



Magister milusiński

Maria Barcentewicz

„Po to człowiek odkrył słowo
By przemilczeć to i owo”

— powiedziałby pewnie S. J. Lec o zatwierdzonych już i opublikowanych programach dla klasy I, II, III. Ech, czego tu nie brakuje? Jest absolutnie wszystko, żeby przerazić nauczyciela natłokiem wiedzy i informacji, które ma zaaplikować swym milusińskim.

Aż iza się w oku kręci, bo gdzie te czasy, kiedy to nauczyciel wiedział, że musi małego szkraba wprowadzić w różne zawilosci znaczków pisanych na papierze i umiejętności odczytywania później tajemniczych kresek, kólek i laseczek. A czasami rok to dla wielu dzieci za mało, aby się tego nauczyć. A ileż razy zżymać się przyszło, że dziecię trzy godziny dziennie w ławce nie wytrzyma i woli pohasać trochę po klasie. Wymyślać więc trzeba było zabawową formę uczenia, bo strawniejsza dla dzieci, a i pokręcić się trochę można bez narażania się na karcące „wszechwiedzącej i wszechmocnej pani” spojrzenia (oby tylko!). A i pani nie ma się co dziwić, bo gdy się opanować musi żywa

Dokończenie na str. 12

■ Zjednoczenie Budownictwa Przemysłowego „Wschód” w Lublinie ■ Ministerstwo Komunikacji ■ „Depolma” w Düsseldorfie ■ odpowiadają na publikacje „Kamienia”.

DROGI DO NIEPODLEGŁOŚCI

Codzienny Lublin 1918 r.

LUDOWY TYMCZASOWY

Ireneusz J. Kamiński

MOŻNA przypuszczać, że Zaduszkowski 1918 roku nie był tak rozświetlone epitafijnie, jak w poprzednich latach. Nie dążył do myślenia przede wszystkim o życiu, lecz z zupełnie innych powodów, koniec końców związanych jednak z egzystencją: teraźniejszą i przyszłą.

państwową i narodową. Oto lublinianie, miast palić świeczki i składać kwiaty na grobach najbliższych, równowartość tych symboli pamięci przekazywali w walucie na fundusz organizacyjny wojska polskiego, na skarb narodowy, na najbiedniejszych obywateli.

Dokończenie na str. 4

Listy do kamienia

„NIEPOKOJĄCY SPOKÓJ”

Uprzejmie informujemy, że z zainteresowaniem przyjęliśmy zamieszczony w „Kamieniu” z dnia 30 kwietnia br. artykuł Macieja Podgórnego pt. „Niepokojący spokój”. Autor publikacji dotrął wnikliwie i obiektywnie przedstawił zasadnicze problemy, związane z budową Odlewni Żelaza w Lublinie. Realizacja tej inwestycji — mimo uznania jej za szczególnie ważną dla gospodarki narodowej — przebiega z pewnymi trudnościami, wynikającymi z niepełnego zaopatrzenia w kruszywo, stał konstrukcyjną i sprzet oraz z niekompletności dokumentacji projektowej. Wiele komplikacji następcza niewłaściwa koordynacja i brak należytego współdziałania wszystkich uczestników procesu inwestycyjnego oraz mało efektywna staranność i wysiłek specjalistycznych przedsiębiorstw wykonawczych.

W tej sytuacji istnieje pilna konieczność nadrobienia opóźnień i uwzględ-

nienia rzeczywistych potrzeb gospodarki narodowej. Jest rzeczą zrozumiałą, że stawia to przed generalnym wykonawcą, tj. Lubelskim Przedsiębiorstwem Budownictwa Przemysłowego w Lublinie, zadania polegające na zaangażowaniu na budowie Odlewni zwiększonego potencjału produkcyjnego przy równoczesnym kontynuowaniu innych ważnych inwestycji przemysłowych.

Już na przestrzeni ostatniego okresu nastąpiła mobilizacja wysiłku przedsiębiorstwa. Rezultatem są uchwytne Plan pięcioletniego półrocznego został wykonany w wysokości 77,5 mln zł, co w porównaniu do planowanego limitu rocznego 77,5 mln zł dało zaawansowanie zadań rocznych w wysokości 48,8 proc. Uchwalenie się uchwały nr 64 Rady Ministrów z dnia 29 maja br. i zwiększenie limitu na budowie o 300 mln zł postawiło przedsiębiorstwo wobec konieczności wykonania produkcji w III kwartale o wartości 310 mln zł, zaś w IV kwartale — 250 mln zł. Te ambitne plany przedsiębiorstwa jest w stanie wykonać, o ile radykalnie ulegnie poprawie zaopatrzenie materiałowe.

Opublikowany przez „Kamień” artykuł chwycił istotę występujących trudności, słusznie postulując podjęcie skoordynowanych działań na szczeblu zainteresowanych resortów.

W tym kontekście krytyka prasowa okazała się społecznie uzasadniona.

Zjednoczenie Budownictwa Przemysłowego „Wschód” w Lublinie
Główny Specjalista
d/s Organizacji i Zarządzania
Asystent Naczelnego Dyrektora

mgr Jan Siek

LAUREACI NAGROD PAŃSTWOWYCH 1978

W ZAKRESIE LITERATURY NAGRODY I STOPNIA OTRZYMAŁI:

ARKADY FIEDLER — za całokształt twórczości literackiej.
EDMUND JAN OSMANCIK — za całokształt twórczości publicystycznej ze szczególnym uwzględnieniem książki „Rzeczpospolita Polaków”.
WOJCIECH ŻUKROWSKI — za całokształt twórczości literackiej.

NAGRODĘ II STOPNIA OTRZYMAŁ

ZYGMUNT LANOWSKI — za przekłady z literatury skandynawskich.

W ZAKRESIE SZTUKI NAGRODY I STOPNIA OTRZYMAŁI:

HENRYK CZYZ — za całokształt twórczości w zakresie dyrygentury.
doc. GUSTAW HOŁOUBEK — za wybitne kreacje aktorskie: Skrzypka w „Rzeźni” S. Mrożka oraz Króla Leara w dramacie W. Shakespeare'a.
ALFONS KARNY — za całokształt twórczości w dziedzinie rzeźby.
WITOLD LUTOSŁAWSKI — za „Preludia i fugę na 13 instrumentów smyczkowych” oraz „Mipartii na orkiestrę symfoniczną”.
prof. TADEUSZ ŁOMNICKI — za wybitne kreacje aktorskie: Goji w „Gdy rozum śpi” A. B. Vallejo i Prysypkina w „Pluskwoie” Wł. Majakowskiego.
prof. STANISŁAW TEISSEYRE — za całokształt osiągnięć twórczych w dziedzinie malarstwa.

z notatnika

22 VII. Święto Odrodzenia. W tym roku ma ono szczególnie charakter — kraj wita pierwszego polskiego kosmonauta.

A ja spaceruję po ulicach Szczecina, po ulicach miasta, z którym niegdyś wiązały się moje losy. To niegdyś było i dawno i niedawno, zależy jaką miarą mierzyć. W każdym razie przy końcu lat pięćdziesiątych nie było i Staro Miasta i nowego centrum, a Aleje Wojska Polskiego, główna wówczas ulica, też straszły szczyrbami. Gdybym nie odwiedzał dość regularnie, kierowany sentymentem, Ziemi Szczecińskiej i niespodziewanie na przykład znalazł się na lewo od Placu Żołnierza albo stanął w centrum Nowogardu, trudno byłoby mi poznać dawne ulice. Sądzę, że takie same odczucie ma ten, kto na przykład dziś, po dziesięciu, dwudziestu latach nieobecności przyjeżdża do Lublina lub Chelma...

Święto Odrodzenia zawsze nasuwa wiele refleksji. Ciągłe mam w pamięci ów schron wykopany w ogrodzie, w którym schroniliśmy się 21 lipca 1944 roku, kiedy przez Sawin koło Chelma przełamał się front. Jakaż to radość nas opanowała, kiedy nad schronem pochylił się krasnoarmiejelec, wołając „germanców u was niet?”

A później Chelm i widok, niezapomniany widok, maszerujących żołnierzy Wojska Polskiego — Kościuszkowców... Jeszcze dziś bezbłędnie wskażę miejsce, gdzie czytałem rozplakatowany na płocie Manifest PKWN. Trudno było się doń precyzyjnie, wydawało się, że ludzie uczą się całych zdań na pamięć...

Owczesnych dni, tamtego klimatu nie oddadzą żadne słowa. To trzeba było po prostu przeżyć.

25 VII. Biorę do ręki lubelską gazetę dowiaduję się o śmierci Edwarda Nadulskiego. Znakomity plastyk, wspaniały człowiek, przed laty, jeszcze przed moim powrotem do Lublina, członek kolegium redakcyjnego „Kamenu”. Po-

grzeb, znów spotkanie na cmentarzu — obok miejsca, gdzie niedawno pochowali Jurka Dostatniego, kolejna mogiła bliskiego człowieka.

Leszek Siemion powiadał kiedyś, że coraz więcej znajomych spotyka dzisiaj na Lipowej, niż na Krakowskim Przedmieściu. „Na Lipowej”, a więc na cmentarzu. Nieublagana kolejność, ale i okrutny czas, który z grona żywych przedwcześnie zabiera, porywa ludzi, których się znało, z którymi się rozmawiało, dyskutowało, zgadzało lub nie, ludzi, którzy byli kimś. W ostatnich latach kultura lubelska poniosła niepowetowane straty. Jakże szybko zapełnia się Aleja Zasłużonych. To już zresztą nie aleja, ale pokaźna część cmentarza.

We wrześniu 1973 roku przypadała 40 rocznica założenia „Kamenu”. Wyciszylimy ją b. właśnie w tym roku i właśnie w tym miesiącu zmarł Kazimierz Andrzej Jaworski, z którego inicjatywy pismo powstało. W tym roku przed 45 rocznicą ukazania się pierwszego numeru odszedł długoletni sekretarz redakcji „Kamenu”, Jerzy Dostatni. Co za tragiczne zbliżenie okoliczności!

Są pisma, które z pomną świętują pięćdziesiątą, pięćdziesiątą jubileusz. Z wielką pompą zacekamy chyba do pięćdziesiątce. Pozostało jeszcze tylko pięć lat. Tylko pięć lat, czy aż pięć lat?

A swoją drogą dyskutujemy w redakcji, ostatnio coraz bardziej wnikliwie nad pewną zmianą profilu pisma. Na jesień zamierzamy we wschodnich województwach, do których „Kamena” przede wszystkim dociera, przeprowadzić wiele spotkań z czytelnikami, sięgnąć myślą do przeszłości i do przyszłości. Sądymy, że to wzbogaci naszą wiedzę o czytelnikach, o ich zainteresowaniach, może zrodzą się nowe koncepcje.

Zawsze z uwagą czytamy listy, które przychodzą do redakcji. Głównie to są

prośby o ocenę utworów poetyckich. Kolega Zygmunt Mikulski, który redaguje „Pocztę literacką”, nie może narzekać na brak pracy. Cieszyłoby się, gdyby wśród przesyłek znalazło się więcej uwag czytelników na temat poszczególnych pozycji. Czy na przykład „Listy do Gerwazego” budzą jakieś refleksje? Czy ostatnia kolumna „Nos” spotyka się z przychylnym przyjęciem? Czy recenzje filmowe, plastyczne mają swoich odbiorców? Który z naszych autorów jest najchętniej czytany? I tak dalej, i tak dalej.

Piszcie więc do nas! Rubrykę „Listów do redakcji” zawsze możemy rozszerzyć.

30 VII. Korzystając ze słonecznej pogody, a tych słonecznych dni nie tak wiele w tym roku, wpadłem do Józefowa nad Wisłą, ale przedtem jeszcze zatrzymałem się w Kluczkowicach. Ośrodek wodny ogólnie dostępny. Na miejscu coś w rodzaju bufetu. Ciępla lemoniada. Nasza gastronomia poza zakładami S i ewentualnie I kategorii nie nauczy się chyba nigdy, że napój powinien być z lodówki. Ale, bierz licho, lemoniadę. Z zdumieniem jednak zauważyłem w tym skromnym bufecie baterię najznakomitszych trunków. Takiego wyboru mogłaby pozazdrościć „Unia”. Dla kogo to? Dla tych kąpiących się?

Józefów ma duży urok, ale na tutajszej plaży to tylko śmieć i plakać. Brud, smród i ubóstwo. Gromady opalających się w towarzystwie... krów.

Czy miejscowe władze nie widzą tego? Nie chcą widzieć?

Krajobrazy widziane z okien samochodu między Józefowem a Świeciechowem — cudowne. Ale po drodze żadnego parkingu! Czy na to potrzebne są milionowe fundusze? Tu się turystów nie rozpierzchła, nie zachęca się ich, by przyjeżdżali. A gdzieś podobno są wsie, które tylko z turystyki żyją, a jeśli nie żyją, to sobie na niej solidnie dorabiają. Józefów i okolice na pewno na tej liście nie są. Dlaczego, panie naczelniku?

Program zagospodarowania Wisły, generalnego zagospodarowania — to wielka rzecz. Ale często na wielką rzecz składają się również rzeczy małe.

MAJ

EDWARD NADULSKI

21 LIPCA br. zmarł Edward Nadulski: artysta-malarz, działacz społeczny i polityczny, człowiek szczególnie zasłużony dla kultury lubelskiej. W dniu jego śmierci czynna jeszcze była w Lublinie wystawa malarstwa, na której pokazał pejzaże, kwiaty, portrety, budowane spontanicznie, szerokimi uderzeniami pędzla, wyrażające autorską radość istnienia. Nieco wcześniej sposobit się do prac plastycznych o znacznie większej skali. Twórca lirycznych krajobrazów, opartych na motywach z okolic rodzinnej Kamionki w pobliżu Lubartowa, gdzie urodził się w 1914 roku, mimo nekającej go od dawna choroby był ciągle człowiekiem aktywnym, otwartym do życia, planującym nowe przedsięwzięcia artystyczne.

Sweje przekonania, ambicje i zdolności realizował Edward Nadulski w różnych rejonach życia społecznego. W okresie międzywojennym działał w młodzieżowym ruchu lewicowym, aby zaraz po opuszczeniu sanacyjnego więzienia, do którego trafił po procesie politycznym,

podjąć naukę w Wolnej Szkole Malarstwa i Rysunku im. L. Mehofferowej w Lublinie. Podczas okupacji znalazł się w szeregach Ruchu Oporu GL i AL. Po wyzwoleniu dał się poznać jako wybitny organizator życia gospodarczego na szczeblu centralnym, ale już w 1948 roku wstąpił do warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, którą ukończył w 1955 roku — cały czas łącząc studia z pracą zawodową i społeczną. Następnie osiedlił się w Szczecinie, gdzie objął stanowisko dyrektora oddziału Pracowni Sztuk Plastycznych, projektując jednocześnie w dziedzinie grafiki użytkowej. W latach 1960—1964 był kierownikiem Wydziału Kultury Prezydium WRN w Lublinie i Jemu właśnie środowisko plastyczne miasta i województwa może zawdzięczać polepszenie swej sytuacji profesjonalno-bytowej. W tym czasie zainicjował współpracę kulturalną czterech wschodnich województw, która skonkretyzowała się szeregiem wystaw plastycznych, oraz rzucił myśl organizowania w Lublinie cyklicznej wystawy ogólnopolskiej, która nosi dziś nazwę „Przeciw

Wojnie”. W latach 1964—1972 pełnił funkcję prezesa Okręgu Lubelskiego Związku Polskich Artystów Plastyków. Okres kierowania przez niego lubelskim Biurem Wystaw Artystycznych (1972—1976) należy do najwartościowszych w historii tej instytucji.

Od momentu przyjazdu do Lublina Edward Nadulski coraz częściej zaczął powracać do malarstwa, które stało się dlań czymś bodaj najważniejszym w życiu. Podejmował tematykę lat wojny i okupacji, lecz przede wszystkim malował pejzaże, kwiaty, martwe natury, portrety i akty; indywidualne w wyrazie, łatwo rozpoznawalne wśród prac innych autorów, choć przynależące do szerokiego nurtu polskiego koloryzmu. W ostatnich latach wiele wystawiał w Lublinie, w ramach ekspozycji ogólnopolskich, za granicą. Jego prace znajdują się w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie, muzeów okręgowych, w instytucjach państwowych i u osób prywatnych.

Edward Nadulski był odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Partyzanckim, Medalem Zwycięstwa i Wolności oraz odznaką „Zasłużonemu dla Lubelszczyzny”.

Zegnamy Edwarda Nadulskiego z żalem i w przekonaniu, że odszedł od nas człowiek wartościowy, go-dzien szacunku.

SZPALTA O SPORCIE

SEZON letni nie jest w sporcie sezonem ogórkowym, ale przerwa w rozgrywkach piłkarskich trochę powoduje takie wrażenie. Tymczasem przeżywamy Wyciąg Dookoła Polski, mistrzostwa pływackie krajowe, mistrzostwa świata w szermierce. Docierają do nas wieści o wielkich miotyngach lekkoatletycznych i o mniejszych imprezach jak np. rozgrywki o puchar Michałowicza juniorów w piłce nożnej.

Z turnieju tego lubelski Motor przywiózł czwarte miejsce, ale zdobył też nagrodę fair play w konsekwencji nieotrzymania żadnych czerwonych i żółtych kartek. Brawa powinny być większe niż za złoty medal!

Nagrodę fair play przyznano też zdobywcy czwartego miejsca w turnieju szpadowym mistrzostw świata Jabłkowskiemu, który gdyby był przegrał ostatnią walkę jednym punktem, zdobyłby srebrny medal, a po planowej obronie trafiony po czasie został razem ze swym przeciwnikiem uznany za pokonanego, co spowodowało baraż czterech szermierzy, którego już po kontuzji kondycyjnie nie wytrzymał. Ale nie kalkulacje i wyliczenia były jego myślą przewodnią, była nią prawdziwa sportowa walka i to jest właśnie fair. Bo to jest sport, a nie buchalteria punktów.

Jakże inaczej widzą te sprawy działacze sportowi, większość kibiców i liczący tylko wyniki i punkty niektórzy dziennikarze.

Dlatego też znaczną dozę niesmaku wywołała decyzja kierownictwa kadry kolarskiej, które wycofało w czasie trwania Wyciągu Dookoła Polski kilku czołowych zawodników — najbardziej znanych i popularnych, tłumacząc to planami przygotowania do mistrzostw świata. Nie fair to ze strony kierownictwa kadry szosowców w stosunku do kibiców, nie fair także w stosunku do imprezy, która była przecież impreza jubileuszowa i której chcemy nadawać jak najwyższą rangę i pozyskiwać dla niej jak najlepszych zawodników europejskich. Chyba nie tędy droga do uzyskania przez Tour de Pologne takiej rangi, jakiej byśmy sobie życzyli. To nie fair, panowie działacze kolarscy, to po prostu faul na kolarskim sporcie!

Ale cóż! Matematyka sportowa, komputeryzacja itp. mają według niektórych podnieść sport na wyższy poziom, a faktycznie zaczynają mu odbierać to, co w nim jest najpiękniejsze — emocję wyniku.

Matematyka miejsce i rekordów przesłania też niektórym wielki wysiłek sportowca, a nawet uzyskany przez niego wymierny rekord. Sprawozdawca z mistrzostw pływackich Polski jednego z lubelskich dzienników tak pisze... a tym razem po dwóch dniach mamy tylko jeden — srebrny Joanny Pizoń (Lublińska) na 400 m zmiennym — 5:03,2 min. Trudno to jednak uznać za sukces. Na jednym ze swych koronnych dystansów lublińska nie tylko przegrała z Martą Stanina, ale i straciła na jej rzecz rekord Polski.

Zapomina jednak dodać, co wynika z poprzednio przez niego podanych wyników, że o 4,8 sek. poprawiła swój rekord życiowy i rekord okręgu Świdzcy to o ogromnej pracy, jaką ta młodzianka zawodniczka włożyła w trening. Świdzcy o tym, że nadał się rozwija, a to, że przegrała, to dowód, że już nie jest sama w Polsce, ale w konkurencji z drugą dobrą pływaczką (0,2 sek. — to niewielka różnica) będzie się dalej rozwijać. Zapominanie o tym to nie fair ze strony dziennikarza w stosunku do dziewczyny, która jest bliska osiągnięcia wyników europejskich, w czym współzawodnictwo krajowe może jej tylko pomóc.

Fair i tylko fair powinni walczyć nie tylko zawodnicy. Fair w stosunku do zawodników i kibiców powinni postępować działacze, fair o olbrzymiej pracy i kolosalnym wysiłku powinni pisać dziennikarze. Każdy faul nawet popełniony w imię wyższych rzekomo interesów będzie zawsze faulem. Piętnując i karząc faule na boisku nie popełniamy ich, w działalności organizacyjnej. Niech sport będzie przede wszystkim sportem.

Za wcześnie umierać młodemu poetom

Tadeusz Jasiński

SA jednak Lubelskie Prezentacje Poetyckie, są tomiki poetów naszego regionu sporym wydarzeniem, skoro wiele czasopism o nich już napisało. Nie poprzestają na ocenach periodyki, ale sięgają po nowe wiersze poetów z lubelskiego środowiska młodoliterackiego dla udostępnienia czytelnikom nowych nazwisk. Wszystkie one od dawna goszczą na łamach „Kamena”. Jeszcze w tym roku w tej samej serii oraz w wydawnictwach zawodowych ukaże się ponad dziesięć dalszych tomików, co dobrze wróży dalszemu rozwojowi Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Słowa poetów powinno się brać poważnie, odbierać niezwykle wrażliwie, bo chyba rozważa i wrażliwość, nadwrażliwość nawet, je poddyktowały. Powinieniem więc żywić obawy, czy wspomniany już Oddział ZLP rzeczywiście tak bardzo liczebnie się rozwinie jak zapowiadają prognostycy życia artystycznego i kulturalnego. Przyczyną weale nie jest mój pesymizm, ani złowróżbne fatum, ale sami młodzi poeci. Niestety, choć na co dzień tak witalni i zapobiegliwi — co jest w porządku i normalne — w swoich wierszach, niestety zbyt wielu pragnie umierać już, zaraz, albo w najbliższej przyszłości — a to jest nie w porządku i nienormalne. Musi to niepokoić nie tylko mamusi i babunie pozostających, ale i czytelników. Młodzi stają się powoli własnością społeczną, choćby dlatego, że zdecydowali się publikować swoje utwory. Takie jest prawo życia, a oni właśnie żyć weale nie pragną, lubują się w śmierci i już! Skoro należą nie tylko do siebie, mamy więc prawo niepokoić się o ich los razem z wielbicielekami i miłośnikami ich talentów. Skąd u nich taki pesymizm, skąd aż tak liczne rozstrojenia i roztrójnienia, skąd tak uporcezywe szukanie ścieżek do krainy zmarłych? Gdybym miał cytować według układu graficznego, jaki nadal w antologii „Przebudzenie” oraz w ośmiu tomikach z „Prezentacji”, a także w kilku innych książeczkach sami poeci, nie starczyłoby całej strony naszego czasopisma, zresztą ten graficzny zapis słów i tak nie zawsze jest w pełni uzasadniony. Nie będę też przy cytowanych wersach dopisywał nazwisk, bo lista byłaby długa i rzadko kogo z piszących mogłaby pominąć. Chodzi o zjawisko, moim zdaniem, niezwykle niepokojące i dlatego potraktujmy je z pełną powagą. Spróbujmy:

Mam dwadzieścia cztery lata / i jeszcze się nie utopiłem / następnego lata spędzę w górach więc prawdopodobnie się nie utopię / co najwyższej skrzęć kark (...) / ostatnio zaczęły mnie nawiedzać mary senne / pewnej nocy odtańczyły wokół mnie taniec śmierci / następnego dnia popełniłem samobójstwo (...) / mam noż / za którym muszę / — gardłem / Bierę do ręki noż / stał bliżej drwiącego (...) / Za oknem szczyt / płowy grzbiet / i cztery tapy / choć życie bywa sznura warte / wara sznurów od mej chwały — bronł się jednak poeta, który w innych utworach dowodził, że życie kocha. Inny mota szuka u Friedricha W. Nietzsche'go: *Midas: Co najlepsze i najwybitniejsze u człowieka? Sylen: Pierwszym najlepszym — być nieczym / Drugim najlepszym — tonąć umierać*. Tyle cytatu zacierpalitego przez poetę, który ma oddźwięk nie tylko w najbliższym utworze. A u innych?

i umierać spokojnie z dnia na dzień rozważnie / w dzień oczy mieć szeroko otwarte / nocą śnić o nadziejach na wspaniałe jutro / cał w swych sprawach nie cierpiących żułka / dom — aby przeżyć / żyć aby zostać i ślad w roczniku statystycznym / kropka / nagrobkiem / słowa / kim jest ten / który we mnie / kazał mi ostrzyć noż na moje gardło / i umierać powoli lecz ostatecznie (...) / kim jest ten / tak ostateczny że nawet kwiat krwiawoi / kiedy się go dotknie / kim jest / dyktując stracenie naprzekór historii / z czasem przywykłem / do łatwości umierania / z czasem też / nauczyłem się dostrzegać / precyzję choroby / z czasem też przywykłem / do postugiwania się słowem śmierć / jakby go można było używać / więcej niż raz w życiu.

W każdej kryjówce czyhał na mnie / budził nastawiony na godzinę śmierci (...) / Pustka schwyliła mnie za gardło /

Masła posmiertna stawia mi pytanie: Dla kogo zapadła kurtyna match powitek / Kto był aktorem, a kto / widzem?? / Czy spektakl skończony, czy trwa w zająknięciu? / Dzwon żalobny / to dżoz brow na jakie nie stać / żywych ani zmarłych (...)

Chciałbym zamarznąć / wsiąknięty w granit / obudzić pamięć cudzą / ze siebie / aby zapomnieć — nie wszystkim umrę.

To ostatnie mierzenie się z pragnieniem odejścia, mimo wszystko posiada w sobie coś z naturalnej

samoobrony, z chęci wpisania się swoją krótką obecnością na trwałe. Wspomaganie się znanymi wersetami *Non omnis moriar* Horacego jest obecne także u innego młodego poety: — z prochu powstałeś — memento wola / — nie wszystko umrę — echo odpowiada. Znaleźć można nadto piękne trawestacje: *kocham więc jestem*. Inny autor z pogłosów lektur Gorkiego wysnuł: *ja to brzmi / dumnie / ostatecznie / i głupio*. Dla dwu innych autorów, choć z natury i z wiązości utworów sądząc,



A życie jest przecież piękne...

Fot. L. Leo

pesymistami i nihilistami nie są, patronami, na których lubią się w wierszach powoływać, są Andrzej Bursa lub Rafał Wojaczek. Nasza poezja na trzydzieści pięć lat powojennego rozwoju nie obfitowała w zbyt wiele samobójstw. Więc i ta zbiorowa zapowiedź, to liczne osławianie się przed czasem ze śmiercią, mam nadzieję, powinno być brane raczej za rekwiwit poetycki, za czyniący spore wrażenie ozdobnik, możliwość mistycznych nawet odskoczni, próbę sprawienia wrażenia niezwyklej głębi filozoficznej, tajemniczości i niezwykłości. Jestem przekonany, niestety za rzadko na podstawie poezjowania, że autorzy ci i autorki kochają życie i siebie nad wyraz. Akcentują swoją obecność, nieraz urokliwą, nawet ekstrawagancką, próbą stworzenia wspólczesnej cyganerii. Pretensjonalnie decydują się na dwoje imion i chętnie, gdyby to było u nas przyjęte, pozukaliby jeszcze kilku. Nie poprzestają niektórzy na własnym nazwisku, bo dwoma mocniej się myślą utrwalić. Nawet hiszpańscy i latynoamerykańscy pisarze, choć w

kulturze iberyjskiej jest to przyjęte, rzadko przedłużają tak bardzo karty tytułowe swoich książek i w niczym im to nie ujmuje. Przeciwnie. A więc nasi młodzi poeci jednak chyba życie i siebie kochają — i to jest optymistyczne, pozwala nie ufać tak bardzo zbyt licznyim oplakiwaniami smutnych siebie w ich tomikach. Nawet śmierć tak upiękaszona musi przerażać; mimo że wers włożony jest w usta tego, który uszedł z komory gazowej: *Nie bójcie się jej nie jest taka / straszna ma tylko lakomy napaściwy wzrok jak / kobieta którą nerwowo rozbierał ze wstydu / i w tym momencie ona chce już tylko siebie*.

Nie tylko w powyższym werale poety, który nie nadużywa słowa: śmierć, ale u wielu jego kolegów i koleżanek spotyka się wręcz nieustanną sekcję jej znaczenia, atomizację, by lepiej się w jej istocie rozpatrzył i przymierzył do własnego losu. Słowo: życie pojawia się rzadziej, a gdy się jednak pojawia — zbyt często, jak u mój gust i potrzeby estetyczne, jest tylko najkrótszą drogą do unicestwienia i wszystkiego śmierci.

Zycie — słowo tak bogate w miraż. / Umykająca zapadnia pod drżącymi stopami.

Cios istnienia przekracza granice poznania.

Nadal nie możemy się dowiedzieć czy śmierć jest powrotem / czy odejściem świadczącym o pobyciu poza miejscem tęsknot / powszednich oplakiwań utraconego bohaterstwa.

Wypoczywanie w zmęczeniu luster naklejanie / Na czoła skrzętnie nekrologów braci / Więc ja nie mogę — mówię — a mówię umieram / Mówią że może umarłem — mówię że już żułek (...) / Nasz garnitur wpięty w cztery deski.

W przygotowaniu do seansów znikam / Składamy w oku lózko purpurową śmierć / Zaskakującą w głowę przy pełnej kontroli (...) / Lecz gdy miłyżymy ścieżkę czarne prześcieradła / Oni z boków się czują nie przysłuchują krwi.

Można więc lada chwila umrzeć strasznie / Zdychać nawet w takim marszu.

Jakże trudno spotkać, choćby kilka linijek, o afirmacji życia, przeciwdziałania się śmierci. Dla uczciwości obrazu nie można ich pominąć, szczególnie tych wersów, które mówią o tym bezpośrednio:

Synu / strach przed ostatecznym / nie jest strachem życia / umierać / to mieć twarz podniesioną / i iść na przekór gwiazdom / i głosom umarłych / z krwią i z kwiatem w dłoni / z gniewem / ale nie przeciu że jeste stworzonym.

Oczywiście, kogośkolwiek zechce z moimi niepokojami polemizować znalazłby więcej przesłanek na udowodnienie, że nie tylko śmierć, głównie własna, jest muzą młodych poetów. Życie pulsuje w tych wierszach, tylko jakiej? Ubrukane, uciemnione, nieudające, brzydkie, odrzucające. Tam, gdzie jawi się pięknie, ach, jaka wówczas uiga, gdy się natrafi na coś jaśniejszego, szlachetnego, nie zbrukanego, choćby taką ohydą, jak *Bardzo trzeźwe zwierzenie mężczyzny*:

przed chwilą / wypatroszyłem ciało / mojej kobiety / leży teraz / na stole / posypane solą / głowę przybiłem / do ściany — / poszerzyła rząd moich trojeów / resztę / zawiozę jutro / do punktu skupu / a poza tym / nie wyszło / więc teraz już tylko / głowę pełną przysła.

I rzeczywiście! Jaką filozofią jakimi zapatrywaniami na życie przejęci są w swej sporej grupie młodzi poeci? Nawet romantycy, choć w ich dramatach szczególnie trup ścielił się gęsto, to przecież opiewali piękno życia i uczuć z nim związanych. Podobnie neoromantycy. Nawet dekadenci przeszli sobie i coś tam wartościowego potrafili wokół siebie dostrzec. Nie chodzi mi o programowy optymizm, poeta ma prawo również do jego przeciwdziałania. Tu jednak przygnębiająca atmosfera jest niemal powszechna i dominująca. Przecież ci autorzy, jako ludzie normalni, normalnie kochają. Poszukiwać siebie zdarza się im chyba także na weselszą, radośniejszą nutę, a nie wyłącznie w muzyce żalobnej. Nie tylko oplakują siebie przedwcześnie, coś do licha im się w życiu udaje — choćby to że skończyli studia, przebyli barierę druku, są bliżej nobilitacji literackiej, spłodzili lub doczekają udanych dzieł, które staną się ich własnym przedłużeniem, nadę wszystkim, że posiadają dar tworzenia — ale gdzie spotkać tego wyraźniejszego śladu? Jeden z autorów w odniesieniu do własnej poezji objaśnia czytelnika w apostrofie: *Teksty te mają stwarzać pewne „struktury otwarte”, w które poezję można wpięwać wedle własnych potrzeb. / Bo ewentualnie do czytania jest tylko to, co każdemu się pisze we śnie (...)* Ale też, nie każdy potrafi to odczytać, a już na pewno nie każdy zapisze.

Gdyby to kurtuazyjne pozostawienie czytelnikowi prawa do własnej wyobraźni, do własnych snów i jaw odnieść nie tylko do jednego poety, ale do całości ukazanego tu zjawiska, to do jakich snów, do jakich własnych przypisań i interpretacji, wreszcie możliwie bliższych intencjom autorów odczytań byłoby namawiani ich czytelnicy? Jakże dano im przesłanki, oprócz tych, które są obecne naturalnemu ukochaniu życia i spraw mu towarzyszących? W ludziach jest czepliwość życia, a nie wyzywanie śmierci i samounicestwienia. Jest to także we mnie. Stąd mój spokojny, ale jednoznaczny sprzeciw.

Im bardziej, was młodzi wzburzy mój artykuł, tym oczywiście będzie to dowód, że jednak jest to wasze pisanie w ten sposób o śmierci okresowa poza, a mój niepokój z czasem straci podstawę. Swoich racji nie udowadniająca spełnieniem groźb zawartych w wierszach. Przecież pragnę, abyście tworzyli nowe utwory, ale dopuścili w nich do głosu także ton jaśniejszy.

Codzienny Lublin

1918 r.

LUDOWY TYMCZASOWY

Dokończenie ze str. 1

teli miasta, którzy z przerażeniem czekali na wczesną zimę; 450 koron kosztował pud węgla grubego, a 320 — tzw. pospolki. Ofiarność społeczeństwa przejawiała się także przy innych okazjach i w różnej postaci, zależnej od indywidualnych możliwości. Na przykład niejaką pani Laubowa złożyła na skarb narodowy co następuje: cukiernicę srebrną, pierścionek złoty z brylantami („brak drugiego”, skrzętnie odnotowano w gazecie), łańcuszek srebrny, 20 rubli i monetę srebrną. Natomiast ochotnicza straż pożarna w Głusku uzbierała na ten cel 850 koron, 5 marek i jeden rubel — podczas uroczystości poświęcenia własnego sztandaru w miejscowym kościele.

Do wzbogacenia narodowej kasy przyczyniły się także teatry i kina lubelskie. „Powszechny”, gdzie szły kinodramaty, a przed każdym seansem chór śpiewał „Warszawiankę”, aż 50 proc. dochodu z biletów wstępu lokował na społeczny koncert. Dyrekcja artystyczna „literackiego teatru” „Wesoły Ul” okazała się nie gorsza i połowę dochodu netto z dwóch przedstawień oraz pełny ze sprzedaży programów przeznaczyła na identyczny cel. Podobnie znalazł się i „Teatr Wielki”.

Historyczny przełom znalazł ponadto odbicie w repertuarze scen lubelskich. Owszem, nadal cwałowały po deskach „Słarszyszte dziewczuchy”, wdzięczyły się „Figlarne kobietki”, a „Królowa dolarów” budziła straszne tęsknoty za statusem życiowym, który zapewnia dewizy, ale coraz częściej obok takich niezobowiązujących do niczego poza śmiechem i łzawym wzruszeniem komedijek pojawiały się w teatrach przedstawienia o charakterze patriotycznym. „Wesoły Ul” zapraszał na „przeгляд polskiej pieśni wojskowej w prozie i muzyce”, traktując składankę jako „hold złożony naszemu szarakowi”, a „Teatr Wielki” wystawił „Alzacja” Gastona Leroux i Lucjana Camilla oraz „Sybir” Zapolskiej. Akcja tej pierwszej sztuki, mającej, jak się zdaje, znaczne powodzenie wśród publiczności rozgrywała się na pograniczu Francji i pruskiej Alzacji, przed samym wybuchem I wojny światowej. Jej bohater, Jakub d'Orbey, tak się zadurzył w pewnej Niemce, że uciekł przed mobilizacją na galijskiej stronie i w ogóle zachował się haniebnie. Kiedy jednak na ulicy usłyszał wycie Prusaków: „Precz z Francją!”, odzyskał nagle poczucie tożsamości narodowej. Recenzent „Ziem Lubelskiej” tak referował finał przedstawienia: „Duch szczerego patrioty odzywa się potężnym, bohaterskim protestem jednostki wobec rozszwicezonego tłumu. Jakub woła: „Niech żyje Francja” i pada ugodzony kulą”. Pan Konarski w roli głównej wzbudził swoją kreacją „dreszcz grozy wśród widzów”, która zresztą wstała z miejsc przy śpiewie „Marsylianki”. Lublinianie reagowali żywo i po polsku. A potem śpieszyli się, aby przed 22-a być w domu.

W hotelu „Polskim” skradziono komuś 100 tysięcy koron. Po dwóch latach nieobecności wrócił do Lublina wróżka, informując o tym w prasie. Kursy języków obcych — ulgi dla młodzieży szkolnej — oczekiwały słuchaczy. Ludzie poszukiwali mieszkań i handlowali nieruchomościami; przyzwolony dom kosztował 30 tysięcy rubli. Po wykupieniu biletu każdy obywatel mógł przysłuchiwać się obradom rady miejskiej. Młody rekrut postrzelił się

w żołądek, innego żołnierza, stojącego na straży przed magazynem wojskowym, ubito granatem w celach rabunkowych. „Rutynowany hodowca ryb — z długoletnią praktyką — poszukuje budowy gospodarstwa rybnego, administracji lub dzierżawy”, ogłaszała gazeta. Równie długą praktyką chwalił się w prasie felczer Ch. R., specjalista od chorób wenerycznych, przyjmujący przy ul. Dolna Panny Marii 24 m. 18...

Pewne poruszenie odnotowano na rynku pracy. Miejskie Biuro Pośrednictwa Pracy przy Krakowskim Przedmieściu 78 czekało na natychmiastowe zgłoszenie się następujących fachowców: 15 kelnerów, 5 kucharek, 3 kucharzy, kowala dworskiego z czeladnikiem do Królestwa, stelmacha dworskiego do Królestwa, historyka do Galicji, matematyka i dwóch przyrodników — także do Galicji, dwóch formiarzy-gi-serów na drobne roboty — oczywiście, do Galicji, 2 stolarzy i 60 robotników zwyczajnych, czyli niewykwalifikowanych... Ten niewielki anonis potwierdził dwie ważne prawidłowości polskiego życia: że zawsze ceniliśmy sobie dobrą kuchnię, że zawsze, w najtrudniejszych momentach historii, troszczyliśmy się wyjątkowo o narodową oświatę. Czterech nauczycieli poszukiwała na Lubelszczyźnie Galicja...

Począwszy od 5 listopada historia przyspieszyła swój bieg po brudnych i miejscami cuchnących ulicach Lublina. W tym dniu specjalnym pociągiem przyjechał do miasta szef sztabu WP, generał Tadeusz Rozwadowski, zwolniony dwa lata wcześniej z armii austriackiej za protestowanie przeciw podłemu traktowaniu ludności Galicji przez władze wojskowe. Nazajutrz generał, późniejszy dowódca oddziałów rządowych podczas przewrotu majowego w 1926 roku, przyjął defiladę batalionu piechoty i jednostki artylerii. „Przybyłe oddziały — informowała z dumą „Ziemia” — odznaczają się świetną prezencją, znać na nich znakomite wykształcenie wojskowe oraz doskonałe wyekwipowanie”. Krótką tylko wzmianką w tym samym numerze gazety skwitowały powstanie Rady Delegatów Robotniczych miasta Lublina, utworzonej z inicjatywy SDKPiL i PPS-lewicy, przy współudziale PPS. Obszernie o tego rodzaju wydarzeniach informował jedynie „Dziennik Lubelski”, piśmo o orientacji radykalnej, redagowane przez Zygmunta Dreszera.

7 listopada obwieszono w mieście, że władzę objął Tymczasowy Ludowy Rząd Republiki Polskiej, którego premierem został Ignacy Daszyński, ministrem spraw wewnętrznych — Stanisław Thugutt (notabene autor albumiku ciekawych fotografii z Kazimierza Dolnego, o czym niewiele dziś pamięta). Kierownictwo pozostałych resortów powierzono m. in. Jędrzejowi Moraczewskiemu, Tomaszowi Arciszewskiemu, Julianowi Poniatowskiemu i Wacławowi Sieroszewskiemu, którego zastępcą został wkrótce Andrzej Strugvel Tadeusz Gałęcki. Sprawy wojskowe oddano w ręce mianowanego generała Edwarda Rydza-Smigłego, absolwenta warszawskiej szkoły sztuk pięknych, lecz przede wszystkim bliskiego współpracownika Józefa Piłsudskiego i Komendanta Głównego POW od lipca 1917 roku.

W wydanym „Manifestie do Ludu Polskiego” rząd zapewniał gwarancje prawno-ustrojowe dla wolności sumienia, słowa, zgromadzeń, związków zawodowych, strajków, obiecując zarazem ośmiogodzinny dzień pracy. W przyszłości Sejm miał zatwierdzić reformy o charakterze zasadniczym: nacjonalizację kilku podstawowych gałęzi przemysłu i komunikacji, przejęcie

przez masy pracujące średniej i wielkiej własności ziemskiej...

Utrzymany w duchu demokracji burżuazyjnej program nowego rządu nie budził zachwytu ani skrajnej lewicy, ani prawicy. Ale to problem nie należący do naszego tematu, który rozwija się wokół spraw codziennych Lublina 1918 roku. A na tym poziomie powitano rząd Daszyńskiego z radością proporcjonalną do znaczenia obietnicy o np. ośmiogodzinnym dniu pracy, którą zresztą wprowadzono później w życie. W okolicach mostu na Bystrzycy pojawiły się co prawda okopy i karabiny maszynowe wojsk prorządowych, ale już rankiem 7 listopada tłumy mieszkańców przybyły pod hotel „Victoria”, gdzie z balkonu przemawiali nowo mianowani ministrowie. Obywatelom Lublina towarzyszyła orkiestra, na domach powiewały flagi narodowe, na ten dzień wyjątkowo zamknięto sklepy, biura i fabryki.

Koło południa na placu przed katedrą odbyło się zaprzysiężenie oddziałów i organizacji wojskowych, lojalnych wobec rządu Republiki Polskiej. Na uroczystość przybyło ponad 300 żołnierzy i oficerów 2 batalionu 2 pułku piechoty, tego samego, który dwa dni wcześniej defilował przed generałem Rozwadowskim, ściganym właśnie przez nowe władze nakazem aresztowania. W zgromadzeniu — ozdobionym dwoma armatami — wzięły ponadto udział liczne oddziały POW, milicja robotnicza i miejska, orkiestra: 2 pułku i strażacka, grupa Dowborczyków, niewielki oddział Straży Bezpieczeństwa Publicznego i oddział byłych żołnierzy armii austriacko-węgierskiej. Dostrzeżono też kilka sztandarów robotniczych i rzemieślniczych. Naokoło placu rozlokowały się wielkie tłumy lublinian.

Przysięgę odbierał generał Rydz-Smigły, „przy czym jeden z księży kapelanów trzymał wzniesiony w górę krzyż”. Rota przysięgi nakładała na żołnierzy obowiązek wierności i posłuszeństwa wobec Republiki oraz gotowość walki w obronie kraju i praw ludu. W tym czasie na ziemiach polskich istniały dwa rządy — warszawski i lubelski — mówiło się o powstaniu trzeciego. W Krakowie, a w Paryżu funkcjonował Komitet Narodowy. Jeszcze w 1917 roku uznany przez Ententę za prawowitą władzę polityczną Polski. W różnej scenografii polityczno-geograficznej składano więc wówczas przysięgi, co chyba mogło ludzi dezorientować, wprowadzać zamieszanie w serca i umysły. Wczoraj: niech żyje Rozwadowski, dzisiaj: ścigajmy generała!



Po zakończeniu ceremonii minister wojny wznosił okrzyk m. in. na cześć Republiki i armii, a minister propagandy i agitacji — na cześć generała Smigłego. Wiwatujące tłumy wspomagała orkiestra 2 pułku, która po każdym toaście grała strofę „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Nieco później Rydz-Smigły przyjął defiladę wojskową przed pomnikiem Unii Lubelskiej. Wieczorem obwieszono zniesienie w mieście stanu wyjątkowego i przepustek nocnych.

W tym czasie kinoteatr „Corso” dawniej „Oaza” zachęcał publiczność do obejrzenia „Niewolnicy Maharadży”, albo „wspaniałego dramatu w 5-ciu częściach z pięknią Medy Christiana w roli głównej”, natomiast „Powszechny” wabił widzów „Krwawym morderstwem na zamku”, a „Cud” — „Zakochanym artystą”. Absolutnie obce, problematyczne społecznej czy politycznej — ekrany kin lubelskich kwitowały różne sprawy społecznej w „naśpogramach”, poświęconych np. produkcji granatów ręcznych.

Film kreował świat na wzór Arkadii, w najgorzej wypadku haremu, gdzie,

władom, kobiety nie mają władzy, tylko kąpią się we wschodnich „diarach”. A tymczasem wokół kinoteatrów działy się rzeczy brutalnie realne.

Ludowy Rząd Republiki Polskiej głosił hasła podważające niektóre struktury dotychczasowego porządku społecznego, zatem prawica różnego autoramentu próbowała mobilizować przeciw niemu opinie publiczną, stosując tzw. szepstaną propagandę. Plotkowano po knajpach i kabaretach, że nowe władze zamierzają skonfiskować gotówkę obywateli, znajdującą się w bankach, co spowodowało masowe wycofywanie wkładów. Informując o mianowaniu komisarzy ludowych w 12 powiatach i dwóch miastach Lubelszczyzny — w samym Lublinie funkcję tę pełnił Władysław Kunicki — „Gazeta Lubelska” dodawała z cicha pęk, że „są to osoby w pracy publicznej w ogóle niezębne, lub znani z organizacyjno-agitacyjnej działalności w ruchu radykalnym”.

We wsiach lubelskich masowo wybuchły strajki służby folwarcznej.

Na porządku dziennym były napady bandyckie, dokonywane pod wodzą owych zbłędów z więzienia na Zamku, z których 48 udało się jednak ująć.

Mimo niepewności politycznej i zło-dziejsko - spekulacyjnej hossy, społeczeństwo lubelskie zaczęło budować niepodległość przy pomocy faktów, które nie przeliczalnych od razu na korony, ale niezwykle ważnych dla przyszłości narodu. Zorganizowała się Macierz Szkolna, ogłoszono zapisy na kursy przygotowawcze do egzaminów dojrzałości i na pierwszy rok studiów w nowo powstałym Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, którego kancelaria mieściła się przy ul. Zamowskiej, w gmachu pomisjonarskim. Uczelnia miała kłopoty ze skompletowaniem kadry, więc starano się pozyskać naukowców młodych, reprezentujących przecież przyzwoity poziom. Przypomnijmy, bo warto, warunki angażu.

... każdy z powołanych, choćby tylko na docenta, albo zgłaszający się do prowadzenia wykładów w charakterze docenta prywatnego, nawet gdyby posiadał doktoraty i mógł się wykazać poważnymi pracami, musi bezwarunkowo być habilitowany w jednej z dwóch wspomnianych (krakowskiej i lwowskiej — uw. aut.) wszechnic naszych. O ile nie posiada habilitacji, przyjęty zostaje w roli zastępcy docenta, względnie zastępcy docenta prywatnego, pod warunkiem wszakże, że najdalej w ciągu dwóch lat uzyska we-niam legendy; jeśli temu warunkowi

przełomów. Dziennikarze dziwili się, że „za czasów dyktanda austriackiej codziennie przed szlaczkiem miejski na Bronowicach zajeżdżało po 50-60 furmanek, każda wioząca po 4 karmne wieprze”, a teraz pusto przed rzeźnią, mimo ustania rekwizycji. Nie czytali, widać, redaktorzy własnych gazet, gdzie w informacjach o strajkach służby lotniczej: ogólnym niepokojem na wsi zniechęcić mogli wyjaśnienie problemu. Niewielkie dostawy żywności spowodowały, że za funt mięsa rzeźnicy domagali się 8 koron, a za funt słoniny — 16. Ale po połowie listopada zanotowano obniżkę cen: na armarku na Kalinowszczyźnie średnie, tuszy krowa kosztowała do 100 rubli (na początku roku 600), a funt żywej wagi wieprza karmnego — do 6 koron. Pewne wyobrażenie o kondycji i stanie zdrowotnym oświadczył przynosi innego rodzaju statystyka: otóż tylko w jednym tygodniu listopada zmarło w Lublinie 45 osób (w identycznym okresie 1977 r. — 56 mieszkańców 220-tysięcznego już przed wojną miasta).

Szybko rozkręcał się handel, w znacznym stopniu opanowany przez Żydów; na 1000 mieszkańców Lubelszczyzny przypadło ponad 100 obywateli tej narodowości. A handlowano wszystkim, co miało jakąś taką wartość. Oferowano do sprzedaży drukarnie, młyny wodne i kamienice (lepsze po 150 000 rubli), sieczkarnie naczynia kuchenne, łopaty, kosy, szczotki, ubrania wełniane i materiały cążkowe oraz konie. „Okazyjnie do sprzedaży walach polski — czytamy w ogłoszeniu prasowym — belgijski oraz kilka innych koni typu wierzchowego i wyjazdowego i kawalerskie rosyjskie oficerskie pod siodło. Wiadomość u szwajcara hotelu Europejskiego”. Spekulancki obracali zbożem, kamienicznicy śrubowali czynsze do tego stopnia, że aż wytknęło im w gazetach nielojalność obywatelską, sklepikarze tłumacząc się brakiem „dawkowej monety” nie wynawiali reszty klientom, albo „satisfakcjonowali” ich cukierkami zamiast hałeczek.

15 listopada wznowiono ruch pasażerski na kolei: do Dębina, Chełma, Łukowa i Rozwadowa, w których to kierunkach pociągi odchodziły raz dziennie. W tym też dniu odbyło się uroczyste poświęcenie — po nabożeństwie w kościele — lokalu powstałej właśnie „spółki Omnibusowej” przy ul. Namieśnikowskiej 5; (dziś Narutowicza), która bogata w dwie „karetki 12-osobowe” popędziła je na trasy: Lublin — Dąb — Warszawa — Radom (!) oraz Lublin — Zamość. Na „lebka” nie zabierano bilety pasażerom wydawano, także resztkę.

I znów jakaś pani zgubiła fragment bieliśmy, tym razem różową hałkę jedwabną, prawdopodobnie gdzieś na Krakowskim Przedmieściu lub Chopina. Ciekawski bo jakby związany z procesem historycznym przypadek przydarzył się też pewnemu panu ze Zwierzycy, który zmuszony został do zamieszkania w „Gazecie Lubelskiej” takiego inseratu:

„Przepraszam wszystkich znajomych za podanie fałszywego nazwiska, gdyż nie nazywam się Potocki, a Kacperski. Obecności rządu wrogiego zmuszała mnie do tego kroku...”

Przeprósili, ale podpisał się: „z poważaniem Ludwik — Lucjan Potocki — Kacperski”!

Przebieg próbowano budować też w inny sposób. Oto redaktorzy naczelni oraz wydawcy „Ziemi Lubelskiej” i „Gazety Lubelskiej” ogłaszali co pewien czas wszem i wobec, że przebywali właśnie w Warszawie. Oba dzienniki nie znosiły się z resztą okropnie, mimo że przy ul. Kościuszki dzieliła je tylko ściana kamienicy.

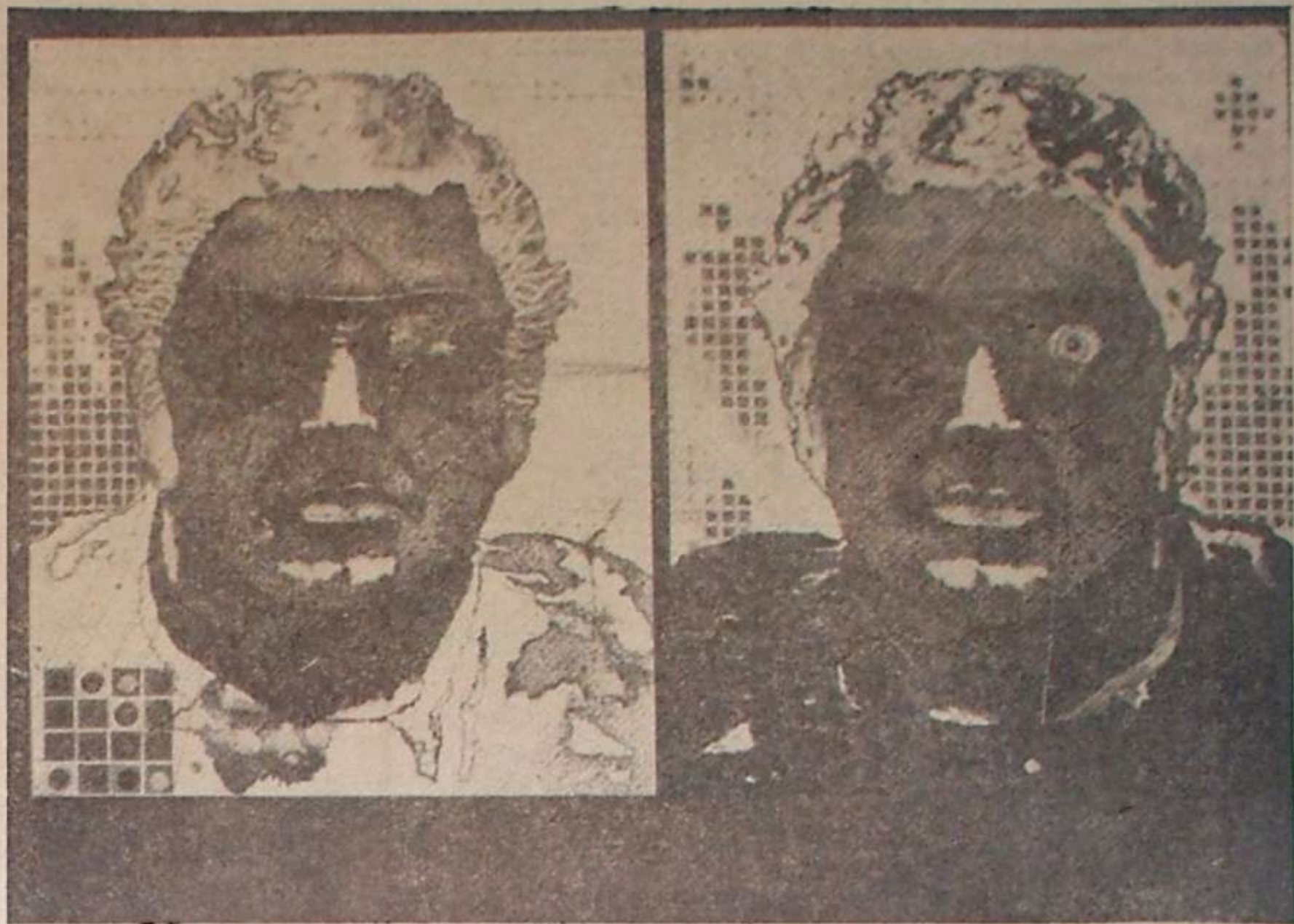
Największym wydarzeniem sfer kulturalnych Lublina były w połowie listopada obchody 25 rocznicy śmierci Jana Matejki. Ks. rektor Jan Władziński wygłosił stosowne przemówienie podczas mszy w kościele Wzytek, a Józef Młodecki opublikował ciekawy tekst w „Gazecie Lubelskiej”, który śmiało można uznać za dokument nastrojów, dominujących wówczas w społeczeństwie polskim. Oto fragment artykułu:

„Zazdrosne ukrywanie aredydział Matejki w prywatnych galeriach i apartamentach byłoby niedopuszczalnym egoizmem, byłoby niezrozumieniem, że nie poddając płynącym z nich wrażeniom i wpływom jak najszerzego ogółu, zatracą się cząstki energii i ducha narodowego”. Wszystkie wielkie dzieła artysty — kończył autor — winny znaleźć się w specjalnych salach muzeum narodowego w Warszawie.

Ireneusz J. Kamiński

Pierwszy odcinek o codziennym Lublinie 1918 r. zamieściliśmy w nrze 14. Red.

Z TWORCZOŚCI JERZEGO KOSTKI



Fot. A. Polakowski

Okno - Sztuka - K

Jest lepiej

ale...

SZTUKA nasza nabrała elokwencji, abstrakcyjności, jeśli na to zaszli, znaleźli miejsce w bezpiecznym obszarze klasyków. Inni nie liczą się za bardzo. Większość współczesnych artystów ma coś konkretnego do powiedzenia o świecie, albo eksponuje własne doznania, czy też oddaje się kontemplacji zwyczajnych przedmiotów. Znacznym wzięciem cieszy się natura, widziana jednak w sposób wcale nie naturalny, lecz jakby pośrednio, okiem kamery fotograficznej, czego leksykalną pochodną fakt, iż częściej dziś mówi się o kadrze, na przykład w grafice, niż o kompozycji. W plakacie liryczny znak plastyczny, właściwy swego czasu dla „szkoły polskiej”, ustąpił miejsca artykulacji tyle dosadnej, co symbolicznej.

Z prawdziwą satysfakcją odnotowując taki obrót sprawy — że sztuka znów stała się komunikatem, którego recepcja nie wymaga znajomości elitarnych reguł kulturowych — z niewyraźną miną obserwuję to, co zauważyli już recenzenci ostatniego Międzynarodowego Biennale Plakatu w Warszawie. Chodzi o chorobliwą wręcz skłonność wielu artystów do postępowania się symbolem w sposób niemal trywialny, o budowanie nieprzystojnych, bo banalnych metafor. Te „mony lizy” z celownikami czy tarczami strzelniczymi na obliczach, te kolumny antyczne buchające dymem, albo skręcone w

śruby — jakie to łatwe i powszechne! Okazuje się, że wprowadzanie w strukturę dzieła znanych symboli kulturowych wymaga wielkiego, powściągliwego, taktu i elementarnej wrażliwości.

Niestety, od takich „rozwiązań” nie są wolne niektóre prace lubelskiej wystawy grafiki i rysunku, którą otwarto przy końcu czerwca w BWA. W historycznym już salach artystycznego przybytku, doliczyłem się kilku celowników, wmontowanych w ludzi, oraz kilkoro biednych dzieci i bardzo stroskanych starszych kobiet — oczywiście w pracach tam pokazanych. Nie mam nic przeciwko ewokacji plastycznej momentów tragicznych, flankujących nasz gatunek dość szczelnym kordonem, ale protestuję przeciwko takim chwytom formalnym, albowiem narażają one na szwank zdrowie psychiczne publiczności, do której przecież należą.

Spojrzenie na wystawę w szerszej perspektywie prowadzi jednak do zupełnie innych wniosków. Mówiąc krótko: z tak interesującym i obiecującym pokazem graficznym lublinianie dawno już nie wystąpili. Szukałem, ale w zasadzie nie znalazłem owego „ćpania” graficznego, tej nieśmiałości, jaka towarzyszyła wielu pracom poprzednich pokazów. W zdecydowanej większości rozległych plaszczków dzieł przekonująco: albo rozwija się intrygująca gra formalna z dyskretnym podtekstem znaczeniowym (Henryk Szulc), albo metaforą budowane są przy pomocy środków o wyjątkowej sugestywności wizualnej, świadczącej o bezwzględnej opanowaniu warsztatu (Zofia Kopel-Szulc), albo też autor, posługując się poetyką „ostrych” plakatów reklamowych czy komiksu, urywanymi zdaniem — obrazkami opowiada nam co nieco o sobie samym, przekształcając twarze ludzkie w preparaty anatomiczne lub obiekty poddające się fizyko-matematycznej definicji (Jerzy Kostka). W kadrowanym pionami czerni „pejzażu” Mariana Oleszczuka, w zagęszczonych znaczeniowo linorytach („Architektura” i „Znak jakości”) Jana Tomczuka czy w „Oknie” Mariusza Głazowskiego znaleźć też można momenty niebanalnej refleksji nad pospolitym otoczeniem, które przy bliższej obserwacji okazuje się być jakoś dwuznaczne. Dotyczy to również akwaforty Stanisława Baldygi „Las”, przedstawiającej niby to dziełeczkę w tytułowej scenarii. Grafika ta mogłaby właściwie nosić tytuł „Lolita”. Z zupełnie inną stylistyką

spotykamy się natomiast w punktowych, czarno-białych linorytach Stanisława Góreckiego, rezultacie chłodnej, niemal matematycznej spekulacji na temat zależności formy i przestrzeni. Zbliżone, acz bardziej znaczące są linoryty Zdzisława Niedzwiedzia, szczęśliwie odlegające od znanych mi, może nadmiernie dekoracyjnych prac tego autora. Maksymilian Snoch nie może chyba zdecydować się: czy uprawiać graficzną publicystykę, czy też komplikować fakturę w swoich litografiach, z których najbardziej przypadła mi do gustu zatytułowana „Fantom B.”.

A jednak oferta grafików lubelskich obnaża swoje ograniczenia: pod względem technicznym. Linoryt, litografia, rysunek, czasami akwaforta lub sucha igła (liryczne prace Barbary Sosnowskiej-Baldygowej) to oczywiście rejestr spory, umożliwiający każdemu twórcy realizację najbardziej skomplikowanych koncepcji. Odnosi się jednak wrażenie, że te wszystkie rylce, kamienie, prasy i farby, a więc inwentarz składający się na warsztat graficzny, że to oporządzenie lublinian jest bardzo chałupnicze, wyeksploatowane, mało już sprawne, albo rzadko dostępne. I tak jest rzeczywiście: od dawna, o czym niejednokrotnie pisałem. Jeżeli sytuacja ta nie ulegnie radykalnej zmianie nadal na poważnych wystawach krajowych czy zagranicznych Lublin będzie przystojny tylko dzięki dwójce artystom.

A może przydałaby się większa koncentracja na grafice ze strony młodych i obiecujących, którzy zresztą nieźle, mimo wszystko, zaprezentowali się na omawianej wystawie? W tej dyscyplinie, jak w żadnej innej, obok inwencji i wyobraźni liczy się właśnie sprawność warsztatowa — której nie można osiągnąć bez zdecydowanej specjalizacji. Jeśli natomiast uprawia się i grafikę, i malarstwo, i plakat, i coś tam jeszcze z zupełnie innych rejonów sztuki...

IJK

P.S. Dlaczego w katalogu wystawy pomieszczono reprodukcje grafik, których — kilka przypadków — nie uświadczymy w BWA? Dlaczego w tym oryginalnym wydawnictwie nie znalazłoby miejsca na spis eksponowanych prac? Katalog to dokument — kiedy wreszcie uświadomimy sobie tę prostą prawdę?!

— W poprzednim numerze „Kamery” zapytaliśmy tylko poinformować Czytelników o wielkim sukcesie, jaki osiągnął nasz teatr na festiwalu Euro-wizji w belgijskiej miejscowości Knokke — „IX Międzynarodowym Konkursie Telewizyjnym — „Złota Jaskółka Moraka 1978”. Widowisko „Follow My Dream” („Idź za moim marzeniem”) zaprezentowane przez Telewizję Polską zdobyło Grand Prix, główną nagrodę, wyprzedzając dziewięć telewizji zachodnioeuropejskich. Wyjaśnijmy od razu, że „Follow My Dream”, którego współtwórcą i realizatorem telewizyjnym jest Jerzy Gruza, powstało w ścisłym oparciu o wasze przedstawienie „Malczewski”. (Premierę „Malczewskiego” dał Teatr Studio Wizji i Ruchu jesienią ub. roku w Lublinie). Jak doszło do tego sukcesu?

ZANIM ZDOBYLI GRAND PRIX...

Rozmowa z dyrektorem
i kierownikiem artystycznym
lubelskiego Teatru
Studio Wizji i Ruchu
Jerzym Leszczyńskim



Fot. J. Magierski

— Przyznam szczerze, że dla nas samym ta nagroda była zaskoczeniem. Znając rangę i poziom festiwalu, jechaliśmy do Belgii nawet bez specjalnej tremy; mieliśmy się oto znaleźć w doborowej, międzynarodowej czołówce artystycznej prezentującej programy rozrywkowe. W tej sytuacji marzenia o laurach były nam raczej obce. Dopiero po naszym spektaklu konkursowym w „Cassino Knokke”, po owacji, jaką nam zgotowała publiczność oraz głosach dziennikarzy w czasie wynikłej ad hoc konferencji prasowej, zaczęłam myśleć o jakimś... trzecim miejscu...

— A kogo typował Pan na pierwsze miejsce? Telewizję brytyjską?

— Miała ona na pewno ogromne szanse. Abstrahując od poziomu artystycznego przedstawianego programu, trzeba było brać pod uwagę fakt, że w istniejącym od 1970 r. festiwalu w Knokke TV BBC sześciokrotnie zajmowała pierwsze miejsce, raz tylko dając się wyprzedzić telewizji belgijskiej i raz erefenowskiej. Równie „groźny” był program telewizji belgijskiej: „Le Cirque Imaginaire” ze znakomitą Geraldine Chaplin. Ostatecznie my zajęliśmy pierwsze miejsce, BBC — drugie, a trzecie — telewizja szwajcarska. Poza tym brały udział w konkursie również telewizyjne reprezentacje Belgii (flamandzka i walońska TV), Danii, Hiszpanii, Holandii, Finlandii i Irlandii. Festiwal ciągnął się przez ponad miesiąc — od 3 czerwca do 5 lipca. Wszystkie występy, odbywające się w wielkiej sali widowiskowej „Cassino Knokke”, były rejestrowane na ampeksie i dopiero po zakończeniu prezentacji, w dwóch ostatnich dniach festiwalu, oglądane przez jury na monitorach telewizyjnych i oceniane. Warto podkreślić, że byliśmy w Knokke jedynym i pierwszym — jak dotąd — telewizyjnym zespołem z krajów socjalistycznych. Występowaliśmy w połowie konkursu, 14 czerwca, i może dlatego napięcie i zdenerwowanie spadło na nas dopiero później: w czasie długich tygodni oczekiwania na werdykt jury.

— W którym, nawiasem mówiąc, zasiadał również przedstawiciel naszego kraju...

— To wynikało z regulaminu konkursu — bardzo zresztą dokładnego i rygorystycznego. Na przykład prezentowany program nie mógł trwać krócej niż 30 minut i nie dłużej niż 40. Rejestrowany był „na żywo”, na sali wypełnionej publicznością siedzącą przy stolikach. Nie wolno było stosować żadnych cięć montażowych, powtórek, dokrętek filmowych. W skład ekipy telewizyjnej wchodził Belgowie; jedynie miejsce przy głównej reżyserskiej konsoli zarezerwowano dla reżysera programu danego kraju. I jeszcze jedno: juror zostawał wyłączony z głosowania, kiedy brano pod uwagę realizację telewizyjną kraju, który on reprezentował. Tak więc ani Gruza, ani

ja nie tylko nie mieliśmy ułatwionego zadania, ale przeciwnie: od samego początku piętrzyły się przed nami ogromne trudności. Przede wszystkim musieliśmy nadać przedstawieniu nowy kształt, dostosować go do wymogów stawianych przez konkurs, a przy tym nie stracić wymowy artystycznej i ideowej „Malczewskiego”. Dokonywaliśmy tego z Gruzą najpierw w naszej lubelskiej siedzibie i na scenie Teatru im. J. Osterwy, a później już w samym Knokke, w czasie trzydniowych, wielogodzinnych prób. Dodatkowe trudności wynikły stąd, że w Lublinie robiliśmy próby przy muzycznym play-backu. Józek Skrzek — twórca muzyki do przedstawienia — przyjechał razem z zespołem SBB, biorącym udział w „Follow My Dream” dopiero nazajutrz po naszym przybyciu do Knokke i na miejscu w czasie ostatnich prób przekomponowywał fragmenty muzyki. Poza tym poważne obawy wzbudziła w nas pierwsza próba kameralna: pracowaliśmy tylko w zwykłych, ćwiczebnych kostiumach, przy podkładzie muzycznym odtwarzanym z magnetofonu... Dla postronnych, obcych widzów mogła się przy tym zacieierać idea „Malczewskiego” i myśl widowiska. W każdym razie nie czuliśmy pełnego kontaktu z belgijską ekipą telewizyjną. Następnego dnia poszło już łatwiej. Przed sceną, na widowni siedział Józek Skrzek z zespołem SBB, cała ogromna scena ograniczona wielkimi, białymi planszami ze sklejką pozostawała do naszej dyspozycji. Te plansze, nawiasem mówiąc, bardzo nam komplikowały kontrolowanie w czasie spektaklu tego, co dzieje się na scenie. Zamontowano więc nam na zapleczu trzy monitory telewizyjne i wychodziliśmy zza kulis — jak to się mówi w tv — slangu — „pod monitor”. Ale właśnie owe plansze uznaliśmy za bardzo istotny element dekoracyjny.

— „Follow My Dream” jest dziełem wspólnym. Jak się układał sam proces jego tworzenia? Bądź co bądź — pańska idea spektaklu musiała się zderzyć z idea widowiska telewizyjnego Gruzy?

— O Jerzym Gruzie mogę powiedzieć tylko samo dobre. Jest bardzo wrażliwy, obdarzony ostrym refleksem. Znakomicie się rozumieliśmy. Gruza błyskawicznie wchodził w kontakt, ogarniał ideę spektaklu. Te sceny z „Malczewskiego”, które jego zdaniem powinny wejść do „Follow My Dream”, absolutnie pokrywały się z moimi pragnieniami. „Follow My Dream” nadano kształt impresji — imaginacji związanych z obrazami Jacka Malczewskiego. Nie było tu ściśle zarysowanej — jak w „Malczewskim” — konstrukcji literackiej. Odrzuciliśmy sceny kameralne, w dziedzinie „teatralnym” duchu — np. scenę wieczery wigilijnej. Pozostały sceny najbardziej dynamiczne, najbliższe w klimacie malarstwa Malczewskiego. Chyba to się udało. Świadczą o tym wspomniana już przeze mnie poprzed-

nia reakcja sali po konkursowym występie. Dla tamtejszej publiczności była to swoista sensacja: chodziło nie tylko o samo przedstawienie, ale o specyfikę i osobowość twórczą artysty, którego dzieła stały się inspiracją „Follow My Dream”. Z czym takim jeszcze się tutaj nie spotkano... Po spektaklu zarzucono nas pytaniami o Malczewskiego, o jego sztukę. Bliskie zainteresowanych kierowałem na trwającą jeszcze w Paryżu wystawę twórczości słynnego polskiego malarza... W lipcu, po ogłoszeniu werdyktu, pojawiły się w prasie belgij-

skie 18 mimów etalowych i 20 adeptów. Teraz rozjeżdżają się na urlopy, ale w czasie sezonu pracujemy osiem godzin dziennie: trening aktorski, praca nad nowym programem, zajęcia w Studium Pantomimy. Kieruje nim Bohdan Zadara, który jest też od niedawna naszym kierownikiem literackim, a od początku istnienia teatru — jego „ojcem duchowym”. Bo przecież ten związek trwa od samego początku, prawie od dziesięciu lat, kiedy spotkałem się z Bohdanem jeszcze w Puławach. Just wtedy odbywaliśmy długie dyskusje na temat kształtu przyszłego teatru.

— Prawda... Wszak własną przyszłość roku Studio Wizji i Ruchu będzie obchodziło 10-lecie istnienia! Dodajmy, że przez szereg lat działało w bardzo trudnych warunkach i niepewności bytu...

— Swoją przygodę artystyczną zacząłem przed kilkunastu laty jeszcze we Wrocławiu jako student tamtejszego Uniwersytetu w Studenckim Zespole Pantomimy „Gest”. Już wtedy myślałem o własnym teatrze... Późniejsze losy życiowe ułożyły się tak, że trafiłem do Puław, zaproszony tam przez ówczesnego dyrektora „Azotów”, który zapalił się do pomysłu stworzenia zespołu pantomimy. Kiedy dyr. Kołodziej odszedł, musiałem i ja opuścić Zakłady Azotowe. I gdyby nie ówczesna kierowniczka Powiatowego Domu Kultury, Teresa Jarzyna, która zaproponowała mi pracę w PDK-u, pewnie bym na zawsze wyjechał z Lubelszczyzny. To dzięki niej zostałem i mogłem kontynuować pracę z bardzo jeszcze młodym zespołem. Nawiasem mówiąc, już po roku i ja i p. Jarzyna musieliśmy odejść z Puław, przenieśliśmy się do Lublina. Człowiekiem, który mi wtedy bardzo pomógł, był nie żyjący już dyrektor Teatru im. Osterwy, Jerzy Torończyk. Dzięki jego zrozmieniu nasz puławski zespół postawił pierwsze kroki na scenie „Reduty 70”. „Ku samemu sobie” — spektakl inspirowany twórczością Hermana Hesse stał się dla nas swoistą „receptą” na pracę. Dominowały w nim ruch i badanie jego istoty, impresyjność, oszczędność anegdoty literackiej. No i muzyka. Istotą i zasadą naszego teatru jest podporządkowanie istniejących form ruchu: pantomimy, tańca nowoczesnego, egzotycznego, akrobatyki itp. celowi nadrzédnemu: próbie tworzenia języka scenicznego. Muzyka i ruch w spektaklach stanowią organiczną całość. Spektaklem przez nas tworzoną nadajemy formę impresji, skojarzeń, albo — jeśli posłużę się przykładem z twórczości Joyce’a — epifanii, objawień luźnych, ale zdeterminowanych ideą przedstawienia. Ruch jest tworzywem wieloznacznym. Tylko skrupulatna dyscyplina i systematyczne badanie wszystkich jego objawów, zarówno przez reżysera jak i aktora, szczególnie zaś absolutna kontrola tego drugiego nad własnym ciałem, może pozwolić mu na przekazywanie widzowi wszystkich swoich stanów i treści, które niesie przedstawienie.

— Później tworzyliście następne przedstawienia: inspirowane twórczością Van Gogha „Warianty” (nagrodzone w 1973 i nagrodą na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Pantomimy w Szczecinie), „Roznaczy kamień” wg opowiadania Alberta Camusa, „Kroki w czasie”, „Images” — zrealizowane w Filharmonii Lubelskiej... Zaczęliście mieć swoich zwolenników, entuzjastów i swoją publiczność. Odwiedzali was filmowcy — dokumentaliści, poświęciła wam jeden z programów telewizyjnych „Camera-ta”. Na wieść o naborze adeptów do teatru zgłaszają się tłumy chętnych...

— Widocznie przemawia do ludzi to, co robimy. Ale też to, czego dokonywaliśmy, było możliwe dzięki takim mecenasom teatru, jak Jerzy Cywoniuk, Kazimierz Braun, a szczególnie sekretarz KW PZPR w Lublinie Tadeusz Mizera. Dzięki ich zaangażowaniu w naszą sprawę doszło w 1974 roku do stworzenia Stowarzyszenia — Teatr Studio Wizji i Ruchu, określenie naszego statusu prawnego i... finansowego. No, a w 1977 r. był już „Malczewski”...

— Najbliższe plany?

— W sierpniu wyjeżdżamy na miesięczny Warsztat Mimiczny w Korbiewowie w Beskidzie Żywieckim — zaprawę do powakacyjnych, europejskich podróży, które zaczynamy już we wrześniu, od Paryża.

Rozmawiał i notował:
Miroslaw Derecki

Kamera str. 7

PO EGZAMINACH



Biblioteka międzyuczelniana

Fot. Z. Zugał

Krótkie, lecz chyba instruktywne podsumowania przebiegu i wyników egzaminów wstępnych na kilka kierunków studiów w uczelniach lubelskich, które przedstawiamy na tych stronach, odpowiadają, jak sądzimy, na pytania tyle ważne, co ciągle aktualne, a dotyczące takich kwestii, jak: poziom wiedzy tegorocznych kandydatów na studia, ich motywacje w momencie wyboru kierunku nauki, stratyfikacja społeczna zdających, wpływ pochodzenia społecznego młodzieży na ostateczny rezultat rywalizacji o indeksy. Pozwoliłoby nam się ponadto na zasygnalizowanie przypadków kuriozalnych, tak czy inaczej charakteryzujących wyposażenie intelektualne niektórych chętnych podjęcia nauki w szkołach akademickich.

Sformułowanie ogólniejszych wniosków z lektury zamieszczonych tekstów pozostawiamy tymczasem czytelnikom. Do zarysowanej problematyki będziemy przecież powracać w praktyce redakcyjnej.

EKONOMIA

NOWO przyjęci kandydaci na studia ekonomiczne rozpoczęli zajęcia w nowym gmachu wybudowanym w miasteczku uniwersyteckim. Instytut Ekonomii Politycznej doczekał się bowiem własnych nowoczesnych pomieszczeń, w których kandydaci na studia odbyli już egzaminy wstępne. Spośród trzech specjalności tego kierunku studiów najbardziej liczną jest ekonomika i organizacja produkcji, na którą przyjęto 129 osób, podczas gdy dwie pozostałe: organizacja i zarządzanie oraz specjalność ekonomiczna - społeczna dysponowały tylko 48 i 21 miejscami.

Przebieg egzaminów na specjalność ekonomika i organizacja produkcji świadczy o nie najlepszym przygotowaniu kandydatów. Egzamin pisemny obejmował tam dwa przedmioty: matematykę oraz geografję lub historię (do wyboru).

Już to pierwsze sito poważnie przeczekało szeregi kandydatów, choć regulamin egzaminu nie eliminował kandydatów, którzy otrzymali notę niedostateczną z jednego przedmiotu. Dopiero dwie noty niedostateczne powodowały niedopuszczenie do egzaminu ustnego z języka obcego. Najtrudniejszym przedmiotem okazała się matematyka, którą na 302 kandydatów pozytywnie zdało zaledwie 66 osób. Zadania wprawdzie nie były łatwe, ale nie wykraczały poza zakres programu licealnego. Dotyczyły one zbiorów, geometrii i rachunku różniczkowego. Z pięciu zadań znajdujących się w dwu zestawach kandydat powinien wybrać cztery i rozwiązać je. Niestety, przekroczyło to możliwości przeszło trzech czwartych liczby kandydatów.

Wiedza matematyczna na poziomie licealnym nie była więc najmocniejszą stroną młodych ludzi, chcących studiować ekonomię. Ale byli i tacy, którym może trema a może niechęć do matematyki wymazała z pamięci najbardziej podstawowe wiadomości. Bo chyba tym tylko można wytłumaczyć fakt niezajęcia miejsca na polu trójkąta (podstawa razy pół wysokości), którego też nie znał jeden ze zdających.

Lepiej przebiegał egzamin piśmienny z geografii lub historii. Z geografii przeszło połowa zdających osiągnęła wynik pozytywny, a z historii, z której zdawało niewielu kandydatów, wyniki były w większości pozytywne. Choć i tu trafiały się przypadki, jeśli nie całkowitej ignorancji to może zdenerwowania egzaminacyjnego, gdy kandydatka nie wiedziała nie tylko co znaczy skrót NSDAP, lecz nawet polski skrót BCh.

Spośród 302 osób, które przystąpiły do egzaminu, tylko jeden kandydat wykazał maksymalną liczbę punktów - 30 - za wszystkie ocenione bardzo dobrze.

Niechęć przyszłych studentów ekonomii do matematyki została wykazana nie tylko w toku egzaminów. Wśród motywów, którymi kierowali się oni wybierając ten kierunek studiów, obok zainteresowań osobistych i chęci pracy w gospodarce narodowej niepoślednie miejsce zajmowało to, że ten kierunek studiów w niewielkim tylko zakresie wiąże się z matematyką.

Po egzaminie ustnym z języków obcych, który obejmował tłumaczenie fragmentu tekstu z języka obcego na polski, zadanie gramatyczne, tłumaczenie krótkich zdań z polskiego na język obcy oraz proste odpowiedzi na pytania w języku zdawanym odpadło 11 osób, w tym jedna, która nie zgłosiła się na egzamin.

Ostatecznie wszyscy kandydaci, którzy zdali egzamin nawet z jedną notą niedostateczną, zostali przyjęci na studia. Kilkanaście osób, które pozytywnie zdały egzamin na inne specjalności tego samego kierunku studiów, a zabrakło tam dla nich miejsc, uzupełniły liczbę studentów

pierwszego roku ekonomiki i organizacji produkcji.

Łącznie przyjęto 129 osób, w tym 42 pochodzenia robotniczego, 45 dzieci chłopskich. Punkty za pochodzenie nie musiały więc być brane pod uwagę.

MEDYCyna

PONAD 1600 absolwentów szkół średnich starało się w tym roku o przyjęcie na cztery wydziały lubelskiej Akademii Medycznej, które oferowały w sumie 400 miejsc. Jaką wiedzę i jaki poziom sprawności intelektualnej reprezentowali kandydaci? Nie ulega wątpliwości, że podobnie jak w poprzednich latach, także i w tym roku nasza uczelnia uplasuje się pod tym względem w czołowej trójce krajowych akademii medycznych. Tylko te osoby mogły liczyć na przyjęcie, które w trakcie egzaminów - testowych, z języka obcego - osiągnęły taką liczbę punktów, jaka zsumowana z punktami za pochodzenie społeczne i pracę przed podjęciem studiów zapisywała się cyfrą 54. Przypomnijmy, że w 1976 roku aż 50 kandydatów, którzy nie dostali się do lubelskiej AM z powodu braku miejsc, przyjęto do innych akademii medycznych - ponieważ zgromadzili oni więcej punktów, niż ich koledzy zdający egzaminy do tamtych uczelni. W minionym roku 35 „lublinian” skorzystało z tej szansy. Niezłe to wszystko świadczy o naszym szkolnictwie średnim i o uzdolnieniach młodzieży. Mimo wszystko zalecałbym pewną ostrożność w formułowaniu nadmiernie optymistycznych opinii. Wspomniana statystyka ma charakter porównawczy, a poza tym nie daje właściwie klucza do czegoś tak złożonego, jak „sprawność intelektualna”, leżąca na polu innym, niż erudycja. Warto też wiedzieć, że połowa kandydatów egzaminów nie zdała.

Dużo, bo czterech kandydatów ubiegało się w tym roku na jedno miejsce w Akademii. Na pytanie, dlaczego ludzie chcą studiować medycynę, najtrafniejszą chyba odpowiedź odnaleźć można w sferze potocznej opinii, która wskazuje na wysoki prestiż profesji w społeczeństwie i uniwersalną oraz nieustającą przydatność tego zawodu. Nikogo nie zraża konieczność 14-letniego „terminowania” - studia, staż, specjalizacja - na drodze do względnej samodzielności zawodowej lekarza medycyny, ani też skromne początkowe uposażenie. Kto nie dostał się raz, zdaje drugi i trzeci egzamin. W tym roku aż 570 kandydatów było w takiej sytuacji. Kilka pytań testu próbowało ujawnić motywacje wyboru kierunku studiów - ale czy to do prawdy jest w ogóle możliwe, szczególnie dzisiaj, kiedy słowo „powołanie” łatwo wymienia się z „wyrałowaniem”, w czym zresztą trudno dopatrzeć się czegoś złego, jeśli oczywiście rzecz cała nie jest kabotyńsko skrywana. Racjonalni jesteśmy coraz bardziej i tyle. Najlepsze przygotowanie do podjęcia studiów reprezentowali kandydaci na wydział lekarski, niezłe wypadli „farmaceu-

ci”, natomiast z 263 potencjalnych stomatologów egzamin zdało zaledwie 40. A na wszystkie te kierunki obowiązywał jeden i ten sam test. O miejsce na pielęgniarstwo ubiegało się 189 osób, z czego połowa zdała egzamin.

Z tą stomatologią - pierwszych 54 absolwentów w tym roku opuszcza uczelnię - to w ogóle dziwna sprawa. Zaraz po studiach każdy dyplomant staje się faktycznie pełnoprawnym, przepraszam, dentystą a mimo tego kierunek ów nie wabi tak silnie młodzieży, jak lekarski (ponad 1000 kandydatów). A stomatologów brak (jak i salowych w szpitalach).

Chętni studiowania w Akademii Medycznej pochodzą głównie ze środowisk inteligentnych, lecz kryteria przyjęcia są tak dobrane, aby młodzież z innych warstw społecznych znalazła poczesne miejsce w gronie studentów. 9 punktów in plus za przynależność do klasy robotniczej czy chłopskiej w decydującym stopniu profiluje skład socjalny słuchaczy pierwszego roku. Im bliżej do końca nauki, tym bardziej zmienia się jednak ta struktura. Po drodze wyruszają się także tzw. prymusi, kierowani przez szkoły średnie i przyjmowani bez egzaminów. Podczas studiów okazuje się, że przodować to oni mogli (chcieli?) w szkołach licealnych czy technicznych, tu natomiast nieczym się z reguły nie wyróżniają. Dostają dwójki, jak inni, biorą urlopy dziekańskie, jak inni, repetują - jak ich zwyczajni koledzy. Widzimy problem?

Jeśli zaś chodzi o przypadki kuriozalne podczas egzaminów wstępnych: z obliczeń na szczeblu centralnym, wykonywanych przez maszynę cyfrową, wyszło, że jeden z kandydatów reprezentował umysłowość raczej przedszkolną. Na 148 pytań testu zuch ten zdołał odpowiedzieć tylko na jedno! To nie może być błąd maszyny, bezdusznego mechanizmu, który byle puknąć. Nie zdażyło się dotąd, aby to „zwierzę” popełniło omyłkę. Nie wiemy jednak, gdzie konkretnie zaistniał ów przypadek.

Na koniec informuję, że kwestia kryteriów przyjmowania ludzi na studia medyczne ciągle powoduje kontrowersje wśród nauczycieli akademickich. Niepodważalne są tylko testy - sprawdzian skuteczny, którego zawartość jest dobrze chroniona na długo przed komisyjnym ujawnieniem w sali egzaminacyjnej, a dopiero znacznie później, po zakończeniu rekrutacji, udostępniana kura-torium w celu zapoznania uczniów szkół średnich z problematyką, która będzie stanowiła o testach nowych, obowiązujących podczas kolejnej próby egzaminacyjnej na pierwszy rok studiów medycznych.

POLONISTYKA

NA UMCS - a jest to zjawisko w skali krajowej - obserwuje się zmniejszony napływ kandydatów na filologię polską. Zmniejszony bardziej ze strony miasta, niż wsi. Wynika to m. in. z przeobrażeń na rynku zatrudnienia: miasto zapotrzebuje znacznie mniej wykładowców języka polskiego. Ponadto zawody techniczne, jako intratniejsze, przedstawiają większą atrakcyjność, stąd są mocniej atakowane przez energiczniejszą młodzież miejską.

Jeśli chodzi o nastawienie do studiów, nie można pominąć grupy kandydatów przypadkowych. Ogólnikowego uzasadnienia wyboru tego kierunku, zawartego w słowach „bo mi się literatura podoba”, nie można przyjąć za orientację przemysłową i trwałą. Szkoła średnia nie zawsze należy do przygotowujących do studiów polonistycznych. Np. na temat dotyczący roli pisarza i literatury u naszych

największych romantyków wypracowania najczęściej ograniczały się do omówienia walki narodowo-wyzwoleńczej. Trudności były z rozwiązywaniem zagadnień, do których trzeba było znać dany utwór z lektury własnej, a nie z podręcznikowej interpretacji.

Nie znaczy to jednak, że nie było kandydatów przygotowanych i związanych z przedmiotem na zasadzie osobistego zainteresowania. Ci utworzyli grupę przyszłych studentów. Na ogólną liczbę ponad 150 zgłoszonych przyjęto 50. Niektórzy posiadali szczególne uzdolnienia, co komisja mogła stwierdzić na podstawie nie tylko egzaminów, ale również ocen ich pracy w harcerstwie, w zespołach teatralnych, recytatorskich itp. Opinie szkół miały pewien wpływ na stanowisko komisji.

Ogólnie kandydatów pochodzenia inteligentnego było 40 proc., a robotniczego i chłopskiego 60 proc. O-

Kres ostatnich kilku lat wykazuje tendencję zwykłą tej drugiej grupie kandydatów ze wsi i z małych miast. Pozytywne świadectwo można wyliczyć licząc w Zaklikowie, Ostrowcu Świętokrzyskim, Sobieszynie i Rybczewicach. Pewne zahamowanie napięcia mogło być spowodowane opublikowaniem pytań przez „Kurier Lubelski”. Pytania były trudne, niekiedy zbyt wymagające dlatego komisja zrezygnowała z tematów szkolnych, egzaminowała głównie w oparciu o literaturę.

Na ogółem 55 miejsc 5 zajęli uczestnicy kandydackich hufców pracy oraz osoby, które ze względu na zdrowotnych otrzymały urlop dziekański 13 — laureaci olimpiad skierowani przez szkoły i kuratoria. 12 osób zdało z wynikiem powyżej dobrego. Tak więc 30 miejsc zostało obsadzonych bez uwzględnienia tzw. punktów za pochodzenie społeczne, chociaż dostały się na nie również dzieci robotników i chłopów. W praktyce punkty odegrały rolę w 4—5 przypadkach. Kandydaci, którzy zdali egzamin i nie dostali się z braku miejsc, mogą być przez komisję uczelnianą zakwalifikowani na tzw. miejsca rektorskie, albo do rocznych kandydackich hufców pracy. Warto podkreślić, że spośród uczestników tych hufców niejedną równoległe z zajęciami w hufcu, które trwają 6—

7 godzin dziennie, uczęszcza na wykłady, rozłożone na cały dzień. W rezultacie otrzymuje zaliczenia z części przedmiotów i roku, co daje mu ułatwiony start do studiów.

Komisja uczelniana przyjęła, że na polonistykę zasadniczo nie przyjmują się uczniowie skierowanych bez egzaminu z technik zawodowych. Stanowisko to jest słuszne, ponieważ wobec zmniejszonego programu języka polskiego w tych szkołach prymus polonistyki wśród przyszłych mechaników, np. samochodowych, nie posiada jeszcze wystarczającej rekomendacji i nie może być przyjęty bez egzaminu. Preferencje posiadają licea ogólnokształcące. Kandydatów z innych liceów kieruje się na kierunku przyrodnicze albo politekniczne. Na listę 55 tylko 2 osoby zostały przyjęte z techników.

W czasie egzaminów panowała atmosfera rzeczowa i serdeczna. Doc. dr hab. Andrzej Lewicki z-ca dyrektora Instytutu Filologii Polskiej, który zna kilka ośrodków akademickich, o młodzieży lubelskiej wyraża się z uznaniem. Żałuje tylko, że uniwersytet ma tak mało miejsc, aczkolwiek kadra wykładowcza tej uczelni jest w stanie przyjąć znacznie obszerniejszy obowiązek dydaktyczny. Lata, kiedy polonistyka lubelska była jedną ze słabszych w kraju, minęły bezpowrotnie.

ROLNICTWO

DOSYĆ już dawno minął okres, kiedy uczelnia rolnicza w Lublinie cierpiała na kompleksy drugorzędności, niedobór kandydatów czy niedostateczny ich poziom. Przygotowanie tegorocznych kandydatów na studia w Akademii Rolniczej było nawet lepsze niż w ubiegłych latach. Sporo przyjętych osób dysponowało wiedzą wykraczającą poza program szkolny, aczkolwiek zbyt mała grupa potrafiła w sposób dojrzały uzasadnić wybór kierunku studiów i przyszłej pracy.

Doc. dr hab. Tadeusz Przybysz, prorektor do spraw nauczania i wychowania AR, powiada, że — w porównaniu z innymi uczelniami — na studia w Akademii Rolniczej stara się dużo kandydatów ze wsi i miasteczek, młodzieży o mniejszych umiejętnościach przebiecia, która jednak później szybko się rozwija, wspierając wrodzone zdolności pracowitości i dyscypliny.

W tym roku przeciętnie wypadło po trzech kandydatów na jedno miejsce w całej uczelni. Najbardziej konkurencyjny był wydział ogrodnictwa i kolejno: techniki rolniczej, zootechnicznej, rolniczej, weterynaryjnej. Przy czym pochodzenie społeczne kandydatów rozkładalo się rozmaicie na poszczególnych wydziałach.

Przeszło połowa kandydatów na wydział rolniczy to młodzież pochodzenia chłopskiego, co jest ewenementem w skali kraju. I tutaj można mówić o niejako wrodzonych motywacjach wyboru kierunku studiów, przy czym nie bez znaczenia wydaje się wzrost społecznej rangi zawodu rolnika w naszym kraju.

Duży udział młodzieży chłopskiej notuje się również wśród zdających na wydział techniki rolniczej, zwany popularnie mechanizacją rolnictwa. Motywacja wygląda tu jeszcze bardziej jednoznacznie, albowiem notuje się przewagę absolwentów techników mechanicznych.

Na weterynarię przewaga młodzieży inteligentnej. Często motywacja — chęć kontynuowania zawodu rodziców — lekarzy weterynarii. Podobna sytuacja na ogrodnictwie, przewaga inteligencji. Sporo myśli o swoim przyszłym zawodzie w kategoriach merkantylnych, szczególnie dzieci prywatnych iniektatów. Na wydziale zootechnicznym proporcje pochodzenia społecznego kandydatów rozkładały się równomiernie, a w po-

rownaniu z zeszłymi latami wzrosła popularność tego kierunku wśród młodzieży inteligentnej i robotniczej.

System egzaminów tradycyjnie już uwzględnia punkty preferencyjne za pochodzenie społeczne, ale równocześnie przestrzega zarządzenia resortowego, iż na studia muszą być przyjęci wszyscy kandydaci, którzy zdali egzamin wstępny z przedmiotów kierunkowych ze średnią oceną więcej niż dobrą. Tak że preferencja funkcjonuje głównie na poziomie kandydatów, którzy zdawali poniżej czwórki.

W tym roku po raz pierwszy w Polsce na wydziałach rolniczych zastosowano system egzaminów testowych który eliminował czynnik subiektywny ze strony egzaminatorów, stwarzał zdającym równość szans, ale i zarazem wysokie wymagania z przedmiotów kierunkowych. Uczelnia ocenia ten system pozytywnie, choć wśród młodzieży rozdził on, często niezasadnione, obawy, biorące się chyba stąd, iż szkoły średnie nie wpaują umiejętności zdawania egzaminu testowego.

Na wydział rolniczy zdawało 636 osób, przyjęto 295, z braku miejsc nie dostało się 48. Ten kierunek dysponował tradycyjnie już największą liczbą miejsc (dla porównania drugi w tym względzie, weterynaryjny, zapewniał 175 miejsc). I na tak licznie obsadzonym kierunku egzamin testowy stanowił duże usprawnienie organizacyjne.

Na tymże zresztą wydziale wprowadzono zasadę, iż tak zwana rozmowa pedagogiczna z kandydatem na studia jest punktowana (w skali 1—3). Twierdzi się, że trzeba by pogłębić i poszerzyć zakres tej formy kontaktu z kandydatem, dla zbadania jego dyspozycji do studiów i przyszłego zawodu, poziomu wyrobienia społecznego czy rozgarnięcia po prostu. System bowiem egzaminów testowych nie zawsze stwarza takie możliwości, egzekwując w pierwszym rzędzie wiedzę i szybkość orientacji.

I tak na przykład dwie osoby zdały test pozytywnie, lecz w wyniku rozmowy pedagogicznej zabrakło im punktów i nie zostały przyjęte na studia.

Być może w przyszłym roku test i punktowana rozmowa pedagogiczna będą zastosowane na kierunku ogrodniczym.

KULTURA

PODEZAS tegorocznych egzaminów wstępnych na kierunek kulturalno-oświatowy Wydziału Pedagogiki i Psychologii UMCS, kandydaci na studentów mieli do wyboru na pism-

nym z języka polskiego trzy tematy: „Kult pracy i nauki jako motyw znanych mi utworów prozatorskich II połowy XX w.”; „Problemy moralne współczesności i ich odbicie w literaturze”; „Tradycje poezji rewolu-

cyjnej w literaturze polskiej”. Najbardziej ambitni, i — jak się następnie okazało — najlepiej przygotowani podejmowali trudny, skomplikowany i wymagający niemałej wiedzy ogólnej — temat drugi. Odwoływano się często do twórczości dramaturgicznej Tadeusza Różewicza z „Kartoteka” na czele, do poezji Zbigniewa Herberta. Egzaminatorzy byli niejednokrotnie zaskoczeni szerokością spojrzenia niektórych kandydatów na studia — jak na przykład w wypadku młodej dziewczyny, wypowiadającej niezwykle trafne i oryginalne sady na temat teatru Szajny, lub innej — doskonale zorientowanej we współczesnej problematyce filmowej.

W ten sposób już na wstępie wyodrębniła się wśród zdających bardzo silna grupa świadcząca nie tylko o dobrym przygotowaniu ale przede wszystkim — o autentycznym zainteresowaniu wybranym kierunkiem studiów. (Gorzej wiodło się na ogół zdającym z egzaminem pisemnym z języka obcego. Na egzaminie ustnym — z biologii lub historii — większość wybierała historię).

Niezbyt długo istniejący kierunek kulturalno - oświatowy na studiach pedagogicznych stał się modny wśród młodzieży. (Może ze względu na swój „ogólnokulturalny” charakter?). Należy do najbardziej „obleganych” na uczelni: na 25 miejsc — zgłosiły się 123 osoby (prawie 5 osób na jedno miejsce), ale to i tak o połowę mniej, niż w roku ubiegłym. Wielu potencjalnych kandydatów zdawało sobie sprawę — na przykładzie roku ubiegłego — że będzie bez szans... Ostatecznie z tych 123 osób na egzamin przyszło tylko 105.

Oczywiście, jak zwykle i w tym roku przeważającą większość stanowiły dziewczęta; chłopów było zaledwie 5. Tylko dwaj z nich zostali przyjęci. Kierunek kulturalno-oświatowy całkowicie się sfeminizował; jest to fakt wcale znowu nie tak cieszący pedagogów. Słyszysz się zdania, że raczej męski charakter i meska odporność przydałyby się bardziej w niełatwych nieraz warunkach terenowych placówek kulturalnych. Przecież studiują tutaj ludzie, którzy powinni w przyszłości, podjąć pracę w GOK-ach, w domach kultury we wsiach lub w małych miasteczkach itp.

Dobrze, kiedy zdający wiedza. Jaka czeka ich praca po studiach. Wśród tegorocznych kandydatów były osoby pracujące już „dorywczo” po maturze w domach kultury, były absolwentki liceum plastycznego członkinie zespołu tanecznego, aktywistki dyskusyjnych klubów filmowych, a także kilka działaczek harcerskich. Ci szli na studia „po linii” swoich autentycznych pasji i zainteresowań. Druga jakby grupa sta-

GÓRNICZTWO

LUBELSKIE Zagłębie Węglowe otrzymuje nową kadre głównie z Akademii Górniczo - Hutniczej w Krakowie. Od minionego roku także Politechnika Lubelska podjęła się kształcenia przyszłych kierowników produkcji dla rodzajego się na Lubelszczyźnie przemysłu węglowego. Po egzaminach w jej Instytutach: Technologii i Eksploatacji Maszyn oraz Przetwarzania i Użytkowania Energii Elektrycznej można się pokusić o wstępny ocenę tych, którzy jesienią otrzymają indeksy i będą się sposobili do zawodów dotąd w naszym regionie nie spotykanych.

O miejsca w Zakładzie Automatyki i Elektryfikacji Kopalni, którym kieruje dr inż. Wiesław Lasocki, ubiegało się 84 kandydatów, a mogło być przyjętych tylko 25 osób. Niepokoń przyzwać musiało jednak jedynie 67 spośród nich, ponieważ aż 17 posiadało doskonale świadectwa dojrzałości z rekomendacjami prymusów i nie musiało poddawać się egzaminowi wstępnemu. Pozostało więc zaledwie 8 wolnych miejsc, a o każde ubiegało się ponad ośmiu. Zarówno z egzaminów pisemnych, jak i z ustnych zwycięsko wyszło 45 osób, a wśród nich 13, które uzyskały łącznie noty co najmniej 4,5. Dyrektor Instytutu Przetwarzania i Użytkowania Energii Elektrycznej, prof. dr hab. inż. Stanisław Góra, wyjednał u rektora dodatkowych pięć miejsc ze względu na brak kadry w

nowili kandydaci o wybitnych, ezatem wręcz zaskakujących komisję egzaminacyjną, zainteresowanych humanistycznych. Niestety, była też pewna liczba osób, które nie tylko nie były bardzo wiedzieli, dlaczego zdają na kierunek kulturalno - oświatowy, ale co gorzej poziom ich wiedzy przeraził egzaminatorów! Tak było na przykład w przypadku kandydatki, która na pytanie, dlaczego z takim (i) wiadomościami przyszła na egzamin, odpowiedziała zupełnie szczerze: „Pomyślałam sobie a noż się uda?”

Z jednej strony zaskakiwały: wiedza i dojrzałość umysłowa kandydatów (stad bardzo wysoka konkurencja); dziewczyna, która zdała wszystkie egzaminy na czwórke, nie miała szans na dostanie się, z drugiej strony — poziom poniżej przeciętnego. „Średniaków” właściwie nie było. Natomiast, zdaniem jednego z członków komisji, na 105 osób przystępujących do egzaminu, około 30 w ogóle nie powinno się było ubiegać o przyjęcie na wyższą uczelnię. Zaskakująca była czasem niezajomość problemów współczesnego świata, nawet w formie bardzo ogólnikowej. Jakby niektórzy z kandydatów nie brali do ręki gazet, nie oglądali telewizji czy nie słuchali radia!

W bardzo „dobrej” czolówce, która estetycznie została przyjęta na studia, sześćdziesiąt procent to młodzież pochodzenia robotniczo - chłopskiego. Notabene prymuska egzaminu, Grażyna Sobczak, która otrzymała ze wszystkich zdawanych przedmiotów ocenę bardzo dobrą, jest córka pracownika fizycznego.

Podczas tegorocznego egzaminu wstępnego zaznaczyło się bardzo niepokojące zjawisko: zaskakujący brak odporności psychicznej młodzieży. Nieproporcjonalnie duże w stosunku do sytuacji napięcie nerwowe u zdających, nagle wybuchy płaczu w trakcie — bardzo zresztą dobrych — odpowiedzi. Wreszcie... na siedemdziesiąt parę osób dopuszczonych do egzaminu kilka naście wyszło z sali — rezygnując ze zdawania! Niektórzy z pedagogów zadawali sobie pytanie: czy to specyficzny stress, może wynikać np. z nie zawsze przemysłowych publikacji prasowych, radiowych, telewizyjnych? Czy nie warto zastanowić się, zorganizować dyskusji na temat problemu odporności psychicznej dzisiejszej młodzieży. I problem kolejny: obserwatorom życia kulturalnego wydaje się, że liczbą 25 miejsc na kierunku kulturalno - oświatowym (w ubiegłym roku było ich 30) to stanowczo za mało. Tym bardziej, jeśli weźmie się pod uwagę specyfikę regionu z jego górnictwem, przemysłem, a więc i „socio logiczną”, kulturalną przyszłością.

dziedzicze automatyki i elektryfikacji kopalni. Poza tym, co ważne, większość kandydatów wywodziła się z lubelskich, chełmskich i zamajskich liceów, stanowi to obiecującą rekojmie, że pragną oni rzeczywiście pracować w obranym kierunku i właśnie w naszym regionie. Tym zresztą kandydaci motywowali wybór rodzaju studiów zarówno w podaniach, jak w rozmowach z komisją egzaminacyjną.

Prof. St. Góra twierdzi, że ubiegali się o przyjęcie rzeczywiście najlepsi, że licea i technika przygotowały ich w tym roku doskonale, lepiej niż w czasie poprzedniej rekrutacji na ten kierunek. Dlatego też pozostałych chętnie przyjmuje w poczet studentów Wydział Elektryczny, bo i oni niezmiernie tylko odbiegali wynikami od wspomnianych kolegów, a nikt nie musiał skorzystać z punktów za pochodzenie społeczne rodziców. Podobnie było w Instytucie Technologii i Eksploatacji Maszyn tej samej uczelni. Zastępca dyrektora do spraw nauczania, doc. mgr inż. Ryszard Cyle, określił ten problem prosto: albo kandydat był bardzo dobry i dobry, albo nim nie był. Przestrzeń między tymi o-

Dokończenie na str. 10

Kamena str. 9

Dokończenie ze str. 9

statniami, a pozostałymi, którzy nie zdali, była tak wielka, że punkty za pochodzenie społeczne by nie mogły pomóc. Czyżby się więc ten rodzaj preferencji przeżywał? Zapewne.

Kierunek „maszyni górnicy i wiertnicze” pragnęło studiować 65 maturzystów. Trzynastu spośród nich to najlepsi absolwenci szkół średnich oraz młodzi mistrzowie techniki, zwycięzcy różnego rodzaju olimpiad i konkursów. Z pozostałych zdało egzamin wstępny jedynie 25. Rektor uzupełnił więc liczbę miejsc także do 30, a pozostała ósemka otrzymała propozycję studiowania w tym samym Instytucie na kierunku maszyn i urządzeń przemysłu spożywczego, który gwarantuje specjalność obecnie również bardzo potrzebną i poszukiwaną.

W odczuciu docenta R. Cylca motywacje wyboru kierunku studiów nie są dostatecznie pogłębione, kandydaci ograniczyli się do stwierdzenia, że praca w górnictwie ich interesuje, że powstaje Zagłębie, ale nawet w tonacji owych deklaracji nie wyczuwało się szczególnego przeje-

cia i przekonania. Przekształcenie WSI w Politechnikę Lubelską także podziałało na wyobraźnię młodzieży. Najlepsi absolwenci szkół średnich Lubelszczyzny w latach poprzednich ubiegali się o przyjęcie do renomowanych uczelni w innych ośrodkach, obecnie kontentuje ich Lublin. Może więc stosunkowo wysoki poziom zdających egzaminy wstępne nie jest pochodną ogólnego podniesienia wyników nauczania w szkolnictwie średnim, ale raczej tego, iż zgłosili się po prostu najlepsi? Jeżeli to spostrzeżenie byłoby słuszne, może należałoby nieco skorygować opinię profesora Stanisława Góry. W sumie jednak najważniejsze jest, że eliminacje mogły odbywać się wśród dobrych i najlepszych, i to bez względu na pochodzenie społeczne.

Niepokoić jednak musi, że już wśród przystępujących do egzaminu wstępnego proporcje są niekorzystne pod względem socjalnym. Wystarczy przykład z Zakładu Automatyki i Elektryfikacji Kopalń. Egzamin zdało 32 kandydatów z rodzin inteligentnych, 7 z chłopskich i 6 z robotniczych. Zupełnie podobnie było w omawianym powyżej Zakładzie Maszyn Górniczych.

ZAKOŃCZONE zostały egzaminy wstępne na Katolicki Uniwersytet Lubelski. W tym roku o 50 indeksów na Wydziale Teologicznym „walczyło” 117 kandydatów, na Wydziale Prawa Kanonicznego, który dysponował 10 miejscami, starało się 22 kandydatów, na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej o 30 miejsc — 309 kandydatów, na Wydziale Nauk Humanistycznych o 81 miejsc — 246 kandydatów.

3 lipca odbyły się egzaminy pisemne z przedmiotów kierunkowych. Oto niektóre (wybrane) tematy: teologia — „Obraz Jezusa Chrystusa w Ewangeliach”, „Co rozumiesz przez liturgię?”, filozofia — pisemny z języka polskiego: „Walka o utrzymanie niepodległości w literaturze polskiego Oświecenia”, z biologii — „Przemiana pokoleń w świecie roślin”, z historii — „Kultura Polski średniowiecznej”, z matematyki (dwa pytania z pięciu w zestawie): „W koło o promieniu r wpisać prostokąt o największym obwodzie; rzucono dwiema kostkami do gry, jakie jest prawdopodobieństwo, że suma wyrzuconych oczek jest równa 9?”, z fizyki (jedno zadanie z zestawu): „Oblicz opór przewodnika aluminiowego o średnicy 2 mm i masie 10 kg.” Wydział Nauk Humanistycznych: polonistyka — „Dziady

cz. III — dramat narodowy i religijny”, historia sztuki — „Jakie znasz najważniejsze przezwagi i klejki polskiego oręża? Zdasz sprawę z ich refleksu w literaturze i sztuce”, historia — „Dzieje Pomorza”. Kandydaci na filologię klasyczną mieli do przetłumaczenia fragmenty Cezara, Neposa i Pliniusza Młodszego. Na romanistykę zdawano egzamin w formie testu.

6 i 7 lipca odbyły się egzaminy ustne. Na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej egzaminu pisemnego nie zdały 23 osoby, ustnego zaś 58 osób. Przyjęto zgodnie z limitem Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa i Techniki 30 osób.

Na Wydziale Nauk Humanistycznych egzamin pisemny zdały 204 osoby, 68 kandydatów nie zdało egzaminu, a 50 nie zostało przyjętych z powodu braku miejsc. Przyjęto zgodnie z limitem — 81, w tym 2 olimpijczyków. Największą popularnością cieszyła się historia sztuki, o 15 indeksów walczyło 96 maturzystów.

Na Wydziale Teologicznym 15 osób nie przebrnęło przez egzaminy. Przyjęto 50 osób, które najlepiej zdały egzaminy.

Na wydziale Prawa Kanonicznego przyjęto 15 osób. Osoby duchowne, które dobrze zdały egzaminy, zostały przyjęte poza limitem.

Paradoksy nad jeziorem

Maciej Podgórski

W PEWNYM zakładzie organizowano dwudniową wycieczkę statkiem po Wiśle, połączoną ze zwiedzaniem Puław i Kazimierza. Koszt z wyżywieniem i zakwaterowaniem sto złotych od osoby wydał się niektórym przesadnie wysoki, albowiem sto równa się prawie pół litra. A jedna kobieta powiedziała:

— Ja za sto złotych kupię kaszanki, dudów, ogonów i kości. Zupy nagotuję, pierogów narobię i całą rodzinę dwa dni żywię.

— Ale cóż to jest sto złotych za dwa dni statkiem po Wiśle z jedzeniem i noclegiem! — oponował organizator imprezy, młody człowiek.

— A ile pan zarabia?

— Trzy sześćset.

— I jak długo pan pracuje w naszym zakładzie?

— Cztery lata.

— No widzi pan. A ja zarabiam dwa siedemset i szesnaście lat pracuję.

— Ale żeby zarabiać trzy sześćset, musiałem się szesnaście lat uczyć.

— To pan taki tuman?!

Dialog ten jest piękny i mógłby trwać w nieskończoność. Pospolicie ludzie sądzą, że wypoczywać znaczy narządzić się i napić, a nie coś przeżyć i zobaczyć.

Organizatorzy wycieczki nad jeziorem Białym w województwie chełmskim uradzili, iż dobrze by było, gdyby ośrodki wczasowe płaciły pewne kwoty z przeznaczeniem na imprezy kulturalno-rozrywkowe. Z przeszło 50 ośrodków jedynie połowa zaakceptowała ten pomysł, a wpłaciło kilka. Ze spodziewanej kwoty 250 tysięcy zrobiło się tysięcy 25.

Jeśli sezon jest pogodny, to nad jeziorem Białym przebywa łącznie ponad sto tysięcy ludzi. Czyli sprawa poważna, aczkolwiek pełna niepokojących paradoksów, z których najagradniejszą polega na tym, że Białe leży w obrębie gminy Włodawa, zaś jednostka wiodąca i koordynująca kwestie wypoczynku nad jeziorem, włodawski Ośrodek Sportu i Rekreacji, podlega naczelnikowi miasta. Z drugiej strony — OSiR niczemu faktycznie nie przewodzi i nie koordynuje, ponieważ ośrodki zakładowe nie kwapią się nawet ze zgłaszaniem wolnych miejsc w centralnej recepcji.

W tym roku OSiR wybudował, kosztem trzech milionów złotych, chodniki ciągnące się przy jezdnii wokół ośrodków, i teraz ciężko dojść do porozumienia, z kogo ściągać pieniądze — ze wszystkich ośrodków czy tylko z tych, przy których biegnie nowy chodnik?

Chodzą wieści, że województwo chełmskie ma ambicje powołania własnego Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Turystycznego, aby się uwolnić spod kurateli WPT w Lublinie. Żeby powołać WPT, trzeba dysponować przynajmniej 600 miejscami noclegowymi w województwie. Kiedy wreszcie zostanie oddany do użytku hotel „Kamena” w Chełmie (a kiedy zostanie oddany?), województwo spełni warunki powołania WPT. Ale jak powstanie WPT, wówczas przejmie ono jedyny ogólnodostępny ośrodek wypoczynkowy nad jeziorem, obecnie podlegający włodawskiemu OSiR-owi, i OSiR straci kategorię, a w związku z tym będzie musiał obniżyć pensje pracownikom, niektórych zaś zwolnić.

Wojewoda chełmski wydał w roku 1975 zakaz wznoszenia jakiegokolwiek nowych inwestycji nad jeziorem Białym. Było to posunięcie nadzwyczaj słuszne, ponieważ jezioro jest domeną ośrodków zakładowych, które rozwijają się w sposób nieskoordynowany, nieplanowy i nierównomierny. Jedni budują piękne pawilony, inni drewniaki na kurzych łapkach. Zostanie opraco-

wany ogólny plan zagospodarowania jeziora, wówczas inwestujcie, ale już planowo i metodycznie — zarządził wojewoda.

Bardzo pięknie. Historia tego planu jest dla mnie nadzwyczaj tajemnicza i niezwykle ciężko dowiedzieć się na ten temat jakichś konkretnych we Włodawie czy Chełmie. Podobno zlecono opracowanie planu Instytutowi Turystyki w Warszawie, firmie jak najbardziej kompetentnej, która jednak, widać, przelicyzyła się z siłami i opracowała tylko coś na kształt naukowego studium zagospodarowania przestrzennego, zresztą podając rozwiązania wariantowe. Podobno zlecono kontynuację tej roboty lubelskiemu „Miastoprojektowi”, ale znów nie wyszło.

Planu jak nie było, tak nie ma, i od Romana Górskiego, dyrektora Wojewódzkiej Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli w Chełmie dowiaduję się, że podległe im Wojewódzkie Biuro Planowania Przestrzennego w Chełmie czyni podejścia do opracowania ciągnącego się już parę lat tematu.

Dobrze, iż znalazł się chętny, ale sprawa jest znacznie opóźniona, i słuszny w założeniu zakaz wojewody hamuje w sposób zasadniczy rozwój bazy wypoczynkowej nad Białym. W tej sytuacji powstaje paradoks największy. Ze przyjdzie mi z czystym sumieniem chwalić inicjatywę ludzi, którzy nie przestrzegają zarządzeń wojewody.

Gdyby nie operatywność Wiesława Madejskiego, kierownika ośrodka wczasów rodzinnych „Mirabelka” Zakładów Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Chełmie, to Białe nie miałyby ani jednej krytej sali widowiskowej. Tymczasem Wiesław Madejski, nie zważając na zakazy i nakazy, w zeszłym roku wybudował piękną świetlicę na 300 miejsc, i jak artysta przyjadą nad jezioro, a pada akurat deszcz, powszechny zresztą tego lata, to mają się gdzie pokazać.

W ogóle ośrodek ZPOW jest jednym z nielicznych przykładów dobrze poję-

tej współpracy między ośrodkami zakładowymi a administracją terenową. Do szczęścia brakuje w takich przypadkach jeszcze prawidłowo funkcjonującej informacji Stołówka „Mirabelki” na przykład może wydać dziennie sto obiadów na wynos, choćby dla licznych nad jeziorem amatorów wypoczynku namiotowego. Może wydać, ale nikt o tym nie wie i nikt o tym nie informuje, toteż stołówka serwuje jedynie kilkanaście obiadów na wynos. Przy kłopotach ogólnodostępnej gastronomii, małej i dużej, nad Białym sprawa nie zdaje się blaha.

Wracając do kwestii inwestycyjnych. Wiem, że niektóre ośrodki instalują w istniejących domkach kanalizację i urządzenia wodociągowe, co zresztą nie jest objęte zakazem wojewody. Ale przecież może się zdarzyć, iż jak powstanie wreszcie plan zagospodarowania jeziora, to owe modernizowane obecnie domki zostaną przeznaczone do rozbiórki. Dziś zatem wyda się spore pieniądze na to, co jutro będzie się burzyć!

W ogóle sytuacja nad Białym niejednokrotnie prowadzi do przedsięwzięć groteskowych. Komu jak komu, ale włodawskiemu OSiR-owi nie wypada obchodzić zarządzenia wojewody. Toteż zamiast inwestować w ogólnodostępny ośrodek nad jeziorem, któremu pilnie potrzebna stołówka i rozszerzenie bazy noclegowej, OSiR wznosi piękny pawilon typu „domont” obok swych biur we Włodawie. Dobrze i to, skoro nie można inaczej, tylko po co komu ta karkołomna gimnastyka?

W tej sytuacji co poniektórzy gorzko żalują, iż pożar, jaki w zeszłym roku wybuchł w drewnianku administracyjno-gospodarczym OSiR-owskiego ośrodka nad jeziorem, nie strawił w całości tego obiektu. Gdyby strażacy mniej dzielnie gasili, szopa by spłonęła, nie byłoby już co remontować, i tak czy owak trzeba by myśleć o nowym budynku, a wówczas i o stołówce w nim, recepcji z prawdziwego zdarzenia i tym podobne.

Sprawa nowej stołówki dla tego ośrodka, niezależnie czy będzie podlegał jakiemuś WPT lub, jak dotąd, OSiR-owi, wydaje się pierwszorzędna. Wtedy dopiero da się rozsądnie myśleć o zimowiskach nad Białym, wczasach zimowych (ośrodek dysponuje trzema bojami, aczkolwiek niewielu o tym wie), konferencjach posezonowych.

A swoją drogą, czy odpowiedni wojewodowie z chełmskim na czele nie mogliby skłonić dyrekcji zakładów posiadających pięknie wyposażone ośrodki nad jeziorem Białym, żeby te obiekty nie stały puste poza sezonem, ale były wynajmowane innym instytucjom na zimowiska i wczasy zimowe? Jest to paradoks, który dałoby się przełamać od ręki.

BOHATEROWIE ADRIATYKU (2)

Stanisław Majewski

I TAK BYWAŁO...

W KONCU stycznia 1944 roku trzysobowy oddział wojsk hitlerowskich wylądował w porcie małego miasteczka Sali, na wyspie Dugi Otok Niemcy działali z zaskoczenia i nie zawsze w porę zdołano powiadomić dowódców jednostek floty partyzanckiej o rozmieszczeniu sił niemieckich. Do takich nieobszajmionych z aktualną sytuacją należał dowódca „NB-21”¹⁾. Dzień wcześniej „NB-21” otrzymał zadanie przetransportowania rannych partyzantów na wyspę Vis. Zadanie to wykonano. Zaledwie zdołano przenieść rannych na ląd, nadszedł nowy rozkaz: przewieźć na Dugi Otok beczki z benzyną, dla potrzeb miejscowych oddziałów partyzanckich.

Zaloga „NB-21” nie znalazła nawet chwili wypoczynku. Od kilku dni nie schodziła ze stanowisk bojowych, gdyż w każdej chwili mogło dojść do spotkania z nieprzyjacielem na morzu.

Obserwatorzy bacznie śledzili morski horyzont i niebo. Na morzu nie działo się jednak nic godnego uwagi.

Zaladowany beczkami „NB-21” płynął wyznaczonym kursem, a kiedy zbliżał się do brzegów tej rozległej wyspy załoga poczuła się bardziej swojsko i bezpieczniej. Napięte nerwy rozluźniły się, polepszyło się samopoczucie. Marynarze, chociaż zmęczeni brakiem snu i wypoczynku, z opuchniętymi powiekami i zaczerwienionymi oczami, zaczęli dozwijpkiwać.

„NB-21” wchodził już w wąski rękaw głębokiej zatoczki Sali, pogrążonej o tej porze we śnie. Nawet pies nie zaszczeakał na powitanie okrętu partyzanckiego.

— Dobijamy! — zakomunikował dowódca.

Zaloga ochoczo zabrała się do zwykłych w takich sytuacjach czynności. Okręt powolutku zbliżał się do nabrzeża. Marynarz na dziobie jednym sprawnym ruchem posłał koniec liny na brzeg i zawołał w stronę kogoś, ledwie widocznego na lądzie:

— Hej, łap tam!

Tamten posłusznie wykonał, czego od niego żądano i w ten sposób „NB-21” został unieruchomiony.

— Zarzuć drugą linę! — rozkazał dowódca, chcąc ściągnąć całą burta oparł się o nabrzeże.

— Tak jest! Druga linę! — odpowiedział zdecydowanie marynarz i zabrał się do roboty.

— Hej, towarzyszu! — znowu zwrócił się do człowieka stojącego na lądzie. — Zamocuj na drugim pachołku! Uważaj! Rzucam!

Po chwili z nabrzeża rozlega się warknięcie:

— Wer ist da?

Dowódca okrętu partyzanckiego nie zrozumiał słów głuszonych wiatrem wiejącym od morza i zapytał:

— Co to, Anglik?

— Tak, towarzyszu dowódcu...

— Rozumiesz, co on mówi?

— Nie za bardzo, towarzyszu dowódcu...

— Poświęć na tego Anglika!

Marynarz sygnalista szybko skierował snop światła na ląd. Oczom partyzantów ukazał się najprawdziwszy, uzbrojony żołnierz hitlerowski, który okręcał linę wokół pachołka, jak powinien być uczynić, zgodnie z życzeniem.

Niemiec też nie wiedział, że ma przed sobą okręt partyzancki. Nie podejrzewał przecież, że do portu obsadzonego przez wojska niemieckie wpłynęła swobodnie jednostka partyzancka. Przypuszczał raczej, że to okręt należący do floty Nezavisne Države Hrvatske, a więc należący do koalicji faszystowskiej i dlatego starał się pomóc.

Dowódca „NB-21” zorientował się błyskawicznie w sytuacji i rozkazał:

— Cała naprzód!

Motor zagrał, okręt ruszył raptownie, liny trzasnęły i „NB-21” pośpiesznie oddalił się od nabrzeża, pozostawiając za sobą wielce zdumionego Niemca, który nawet nie narobił alarmu.

„ANTON” ZAGINAŁ

Flagowym, a zarazem największym okrętem bojowym floty partyzanckiej na Adriatyku była „Gwiazda Czerwona”. Okręt ten początkowo należał do Włochów i nosił nazwę „Stella bianca” („Gwiazda biała”). Po kapitulacji Włoch zarekwirowany został przez Niemców i przechrzczono go na „Antona”.

„Anton” stał się okrętem przeciwpartyzanckim w składzie specjalnej flotylli, którą Niemcy zorganizowali po podjęciu z flotą partyzancką na morzu, pod Jakišnicą, w lutym 1944 roku, kiedy to utracili dwa okręty z załogami, liczącymi łącznie 120 osób. Okręty tego typu, o nośności 150—200 t, były dwu- trzykrotnie większe od okrętów, którymi posługiwali się partyzanci, natomiast dwudziestokrotnie większe od partyzanckich łodzi patrolowych. Niemcy w niektórych dokumentach nazywają okręty przeciwpartyzanckie — „Falle” (zasadka, pułapka); na zewnątrz posługiwano się nazwą „Tinfisch”. To symbolizowało zarazem taktykę niemieckich jednostek przeciwpartyzanckich (a wcześniej również włoskich): kamuflować się, dopóki trwa

czyhanie na ofiarę, napadać zniemacka i likwidować ofiarę, nie pozostawiając żadnego śladu.

Zalogi okrętów przeciwpartyzanckich składały się wyłącznie z ochotników; okręty, jako grupa specjalna (Sondergruppe) wchodziły w skład 11 dywizji zabezpieczającej (11 Sicherungsdivision), której sztab mieścił się w Trieście. Okręty grupy specjalnej oznaczane były imieniem i liczbą. Na niemieckich listach operacyjnych wpisane były pod symbolami fonetycznymi według abecadła: „Anton”, „Dora”, „Gustav”, „Jot”, „Max”, „Paula” — łatwo spostrzec, że nadając tym okrętom nazwy, Niemcy brali każdą trzecią literę alfabetu.

Pierwsza grupa dwóch okrętów — „Anton” i „Dora” — wyszła z Triestu 11 kwietnia 1944 r. w godzinach wieczornych. Dowódca 11 dywizji zabezpieczającej wyznaczył dla tej grupy zadanie operowania na obszarze Zadara, zakazując płynięcia poniżej południowego cypla Pašman. Jednakże wskutek awarii motoru grupa zatrzymała się w porcie Pauli i dopiero rankiem 20 kwietnia weszła do Zadaru. Z okrętów zdjęto ładunek, który zabrano ze sobą dla zmylenia czujności przeciwnika i jeszcze tego samego wieczora okręty ruszyły do akcji.

Na wysokości Petrcana odkryły je dwa myśliwce alianckie. Piloci, w przekonaniu, że mają przed sobą zwykle transportowce nieprzyjacielskie, zaczęli je atakować. Przywitał ich gęsty ogień z kilkudziesięciu luf i oba samoloty runęły do morza. Tylko dwóch członków załogi „Antona” odniosło lżejsze ranienia z broni pokładowej samolotu.

W nocy z 25 na 26 kwietnia „Anton” i „Dora” ponownie wypłynęły z Zadaru, aby przebazować się do portu na wyspie Pag. Wiatr, którego siła w chwili wyjścia okrętów z portu nie przekraczała 3—4 stopni w skali Beauforta, wzmożił się później do 7 stopni. Morze było silnie wzburzone i „Dorze” groziło poważne niebezpieczeństwo, że się wywróci. Dlatego poszukiwała schronienia w najbliższej zatoczce, pod Privalke.

„Anton”, chociaż płynął na czele, podporządkowany był jednak „Dorze”, na której pokładzie znajdował się dowódca grupy. Z tego powodu „Anton” musiał trzymać się „Dory”. Nikt z załogi „Antona” nie zauważył jednak, kiedy „Dora” zesłała z kursu. Po stwierdzeniu, że „Dora” zniknęła z horyzontu, „Anton” kontynuował rejs, w nadziei, że spotka się z „Dorą” w porcie docelowym.

Po daremnych oczekiwaniach „Anton” powziął decyzję odszukania „Dory”. Popłynął do wyspy Molat, gdzie powitały go partyzanckie salwy. Zawrócił więc czymprędzej do portu Simun i kiedy stwierdził, że „Dory” również tutaj nie ma, podjął dalsze poszukiwania na obszarze pomiędzy wyspami Vira, Molat, Olib i Silbe.

Rankiem 27 kwietnia rzucił kotwicę w zatoce św. Nikola na Olibie, a wyczerpana załoga udała się na spoczynek.

„Dora” w tym czasie nadal leżała w zatoczce pod Privalke. Pod wieczór 27 kwietnia, kiedy wiatr nieco zelżał, ruszyła kursem na Pag, licząc, że w porcie Simun odnajdzie „Antona”. Kiedy w następnym dniu przeszukała Simun, nie natrafiając na „Antona”, dowódca „Dory” ruszył na poszukiwania według własnego „rozkładu jazdy”. 28 kwietnia obszedł wyspę Maun, popłynął następnie do cypla Mike, przeszedł u brzegów wysp Sestrunki, Molata i Silbe i dopiero późnym wieczorem wszedł do portu Cikat, na wyspie Lošinj, skąd zawiadomił dowódcę 11 dywizji zabezpieczającej o zaginięciu „Antona” na Adriatyku.

„Dora”, opuściwszy wyspę Molat, którą „dla wprawy” zasypała gradem pocisków z miotacza min i dział pokładowych, niszcząc wiele domostw, penetrowała następnie zatoki na Silbie i Olibie. Wszystko nadaremnie. Na poszukiwanie „Antona” wyleciały też dwa wodnopląty z Wenecji.

30 kwietnia przed południem wodnopląty przelatywały nad wysepkami północno-dalmackimi. Niemcy przeświadczeni byli, że „Anton” padł ofiarą rozszalonego żywiołu i dlatego prowadzili poszukiwania za rozbitkami. Tego samego dnia wieczorem dowiedzieli się jednak prawdy...

„Dora” otrzymała rozkaz natychmiastowego powrotu do portu w Trieście, przez Rijekę, a kiedy w dniu 1 maja wpłynęła do portu w Rijekę, dowódca „Dory” zakomunikowano szokującą wieść: „Anton” wzięty został do niewoli partyzanckiej wraz z całą załogą!

JAK DO TEGO DOSZŁO?

27 kwietnia „Anton” rzucił kotwicę w zatoce św. Nikola na Olibie. Nikt z jego załogi nie mógł przeczuwać nawet, że o dwie mile morskie na północ, w przystani Olibu znajdują się dwa partyzanckie patrolowce: „PC-3” i „PC-4”²⁾ i że ich obserwatorzy dostrzegli „Antona” wpływającego na wody zatoki. Dowódca grupy okrętów partyzanckich niezwłocznie wysłał meldunek do Sztabu Sektora Morskiego, skąd nadszedł rozkaz zdobycia lub zniszczenia jednostki nieprzyjacielskiej.

Patrolowce partyzanckie nie mogły jednak wypłynąć na szersze wody. Rozszalały żywioł był dla nich zbyt groźną przeszkodą. O podjęciu walki na morzu też nie mogło być mowy. Przeciwnik budził respekt. Postanowiono jednak starym i wypróbowanym sposobem zaatakować „Antona” z lądu.

Marynarze patrolowców partyzanckich, wspierani miejscowymi siłami partyzanckimi, zajęli dogodną pozycję na skalistym wybrzeżu. „Anton” stał na kotwicy, oddalony od brzegu o kilkanaście metrów. Naszpikowany lufami, groźnie wymierzonymi w stronę lądu wydawał się twierdzą nie do zdobycia. Na jego pokładzie poruszało się kilka osób.

Punktualnie o godzinie 13-ej padł pierwszy wystrzał z broni partyzanckiej. To Branko Mamula, komisarz polityczny II-go Sektora Morskiego, dał sygnał rozpoczęcia ataku na okręt nieprzyjacielski. Kule zastukały o burty „Antona”. Marynarze niemieccy, znajdujący się na pokładzie, szukali schronienia w panice, gdzie kto mógł krył głowę.

Branko Mamula, znający język niemiecki, wezwał załogę „Antona” do poddania się. W odpowiedzi zadudnił motor okrętu. Stało się oczywiste, że nieprzyjaciel zechce próbować ucieczki w morze. Ale ciężka kotwica „Antona” opadła na kamieniste dno, zaczęła się mocno i uwięziła okręt. Łańcuch kotwiczny napręził się do ostatka, kadłub kolosa drżał, niczym śmiertelnie wystraszone zwierzę. Nie mógł jednak ruszyć z miejsca. Kule partyzanckie tłukły o burty i nadbudówki.

Jeden z marynarzy niemieckich pełznie do łańcucha kotwicznego. Nie trudno odgadnąć jego zamiar: chce porzucić kotwicę. Celny strzał partyzancki udaremnia ten zamiar — ciało marynarza nieruchomieje na pokładzie „Antona”, spychany silnym wiatrem, jeszcze bardziej zbliża się do brzegu...

Po raz drugi rozlega się wezwanie do kapitulacji. Ogień partyzancki natężył się. Z „Antona” wzbija się ku niebu biała rakietka. Partyzanci przyjmują to za dowód poddania się. Ostrożnie podchodzą do okrętu. W tej samej chwili sypią się na nich granaty. Jeden z partyzantów pada ranny, ale pozostali zaryzującą pokład „Antona” granatami, które sięją spustoszenie. Jeszcze chwila i zabiela się chusteczki na znak kapitulacji. Partyzanci przerywają ogień i nakazują Niemcom zebrać się na pokładzie.

Z dziewiętnastu członków załogi „Antona” pozostało przy życiu piętnastu, ale tylko czterech nie odniosło ran.

W tej krótkotrwałej walce partyzanci wystrzelili ponad dwa tysiące kul, rzucili 15 pocisków z lekkiego miotacza min i 30 granatów ręcznych.

Na pokład „Antona” wkroczyli zwycięzcy. Okręt niemiecki, uzbrojony w jedno działo 37 mm, cztery karabiny maszynowe, dwa ciężkie karabiny maszynowe, cztery wyrzutnie min i dwa moździerze — nie licząc broni osobistej i dużych zapasów amunicji — zdobyty został przez garstkę marynarzy partyzanckich. Straty własne: jeden ranny.

W kilka dni później — po niezbędnych zabiegach naprawczych i dalszej adaptacji — „Anton”, nazwany przez partyzantów „Gwiazda Czerwona”, podjął służbę pod banderą floty partyzanckiej.

„WRĘCZ GROTESKOWE...”

Wydarzenie z „Antonem”, z uwagi na przeznaczenie tego okrętu oraz okoliczności, w jakich został on utracony, wywołało ostrą reakcję w sztabie niemieckiej marynarki wojennej. O losie „Antona” Niemcy dowiedzieli się z dwu meldunków wywiadowczych: jeden wpłynął kanałami Armii Grupy „Południe”, drugi natomiast kanałami 2 Armii Pancerniej. W pierwszym meldunku wspomniano, że na okręcie niemieckim zdobyto dużą ilość amunicji, co prowadziło do wniosku, że załoga „Antona” nie stawiała dłuższego oporu. To właśnie spowodowało, że dowódca niemieckich sił morskich „Południe”, w niezwykłym ostrym tonie zażądał wyjaśnień od swego podkomendnego, Admirała Adriatyku, Joachima Lietzmana.

Depesza, która wpłynęła do Opatiji w dniu 3 maja, zaczyna się od słów:

„Niezrozumiale i wręcz groteskowe jest to, że „okręt pułapka”, którego zadaniem było ściągnąć na siebie bandyckie okręty i niszczyć je z zaskoczenia, sam wpada w pułapkę i staje się ofiarą zaskoczenia. Bo, jak inaczej wytłumaczyć upolewanie okrętu zdolnego do żeglugi, posiadającego wielką ilość amunicji?”

Depesza zawierała dziesięć precyzyjnie sformułowanych pytań, na które żądano odpowiedzi. Na końcu zawierała ostrą reprimendę, udzieloną Admirałowi Adriatyku:

„Oczekuję, że cały obszar Adriatyku, a zwłaszcza Sondergruppe, uznają ten wypadek za hańbę, która zmyć może jedynie sukcesami w walce”.

Jeden z uczestników akcji przeciwko „Antonowi”, Milan Orhanović, podał interesujący szczegół, z którego wynika, że załoga „Antona” obciążała winą za poniesioną klęskę swego dowódcę: „Kiedy po przesłuchaniu załogi „Antona” zapytałem zastępcę dowódcy (był to stary oficer artylerii), jak mogli dopuścić do tego, że tak głupio wpadli do naszej niewoli, odpowiedział mi: „To się zdarza, kiedy mamy gówno za dowódcę!” Dowódca „Antona” słysząc te słowa rzucił się na niego z pięściami, ale nasi wartownicy rozdzielili ich”.

(c.d.n.)

¹⁾ „NB” — serbski: Naoružani brod = statek uzbrojony.

²⁾ „PC” — serbski: „Patrolni čamac” = łódź patrolowa.

przecież i hałasującą gromadkę ponad 30 osób liczącą, gdy każde dziecko z panią chce słówko zamienić, chce, żeby pani go dostrzegła, pochwaliła i tylko nim była zajęta, to jak temu poddać?

Powszechnie wiadomo, że program 10-latk jest ogromnie trudny. Twórcy programu i co niektórzy publicyści wolą pisać jednakże, że program jest „bardzo ambitny”. Dobrze wiemy, że ambicja łączy się z poczuciem osobistej godności i honoru, pragnieniem twórczych osiągnięć, dążnością do wybitności. Ale ambicja wiąże się również z pewną dozą zarozumiałości, z preferowaniem egoistycznych celów, z żądzą sławy i zaszczytów, z wygórowanymi żądaniami...

I myślę, że nie od rzeczy byłoby rozpatrzyć założenia programowe opublikowanego niedawno w „Głosie Nauczycielskim” programu dla klas I—III. Warto byłoby się tutaj posłużyć pewnym porównaniem i sięgnąć do programów, które dawno już ponoć zdezaktualizowały się, ale które były jednak dostosowane do możliwości przeciętnego ucznia i stawiały nie tyle na ilość programowych haseł, co na jakość opanowanych umiejętności, a choć ich liczba była niezbyt imponująca, to możliwa do zrealizowania i przyczyniała się również do wychowania człowieka dla społeczeństwa i ojczyzny, a że naród był gotowy do poświęceń najwyższych, dowodzi tego historia. Dlatego sądzę, że z naszej wypracowanej i sprawdzonej myśli pedagogicznej powinniśmy czerpać pełnymi garściami, bo chociaż czasy już nie te, to człowiek musi umieć znajdować sens swego istnienia, musi umieć żyć i poświęcać się dla drugiego człowieka, znajdować radość w błahych zdziwieniach dnia powszedniego, bo to przede wszystkim jest warunkiem szczęścia.

Pedagogika sukcesu, tak ostatnio lansowana w prasie pedagogicznej, zapomina — tak mi się wydaje — o psychofizycznych możliwościach przeciętnego dziecka, gdyż stawia mu zbyt wiele wymagań. Ogrom trudnych zadań nie może uczyć wiary we własne siły, dlatego właśnie przyczynia się do nerwicy i frustracji. Tajemnicą polszynela jest dziś fakt, że około 20 proc. dzieci odstaje od normy, ale nie na tyle, żeby kwalifikowały się do szkoły specjalnej, więc i tym dzieciom trzeba przyjść z pomocą.

Porównując różne nasze szkolne programy dochodzimy do refleksji niezbyt wesołych. Oto np. programy przedwojenne kazały dziecku 7-letniemu przebywać w szkole w klasie I i II — 16 godzin tygodniowo, w klasie III i IV — 18 godzin, programy powojenne zachowały mniej więcej te same proporcje czasowe, które zostały zmienione dopiero w tymczasowym programie dla 8-letniej szkoły podstawowej, kształtując się następująco: kl. I — 18 godz., kl. II — 21 godz., kl. III — 24 godz., a 10-latka zasada ucznia do szkolnej ławki w kl. I — na 24 godz., w kl. II i III na 25 godzin w tygodniu. Dodać do tego należy jeszcze zajęcia pozalekcyjne od 6 do 9 godzin tygodniowo dla wszystkich klas. Czyli po zsumowaniu dziecko 6—8-letnie będzie przebywać w szkole około 30 godzin tygodniowo, a więc prawie dwa razy tyle, co dawniej. A trzeba

zważyć, że dziecko, chcąc przynajmniej w stopniu dostatecznym opanować materiał programowy, musi jeszcze poza szkołą posiedzieć około dwóch godzin nad odrobieniem prac domowych, gdyż założenie, iż ma wszystkiego nauczyć się w szkole jest absolutną utopią, a ponadto wydaje się niewłaściwe z punktu widzenia wychowawczego, bo gdzie wyrabianie nawyków utrwalania i pogłębiania wiedzy, gdzie czas na kształcenie zainteresowań, gdzie czas na odpoczynek?

Zapomina się przy tym, że oprócz szkoły we współczesnym świecie istnieją jeszcze choćby takie

Magister milusiński

kształcące czynniki, jak radio czy telewizja, bez których nasze współczesne dziecko nie wyobraża sobie życia. Niejednokrotnie, zwłaszcza kiedy nastąpi awaria telewizora, nasi milusińscy pytają: co robiliście wieczorem jako dzieci, kiedy jeszcze nie było telewizji? Tym oto sposobem my, dorośli unieruchomiliśmy na wiele godzin dzieci w zamkniętych pomieszczeniach, odejmuje im tak niezbędną temu wiekowi potrzebę ruchu, której nikt nie neguje przecież, a o której ludzkość wie od tysięcy lat, że zwłaszcza dziecko powinno biegać, skakać, wspinać się itp., po to, aby zaprawiać wszystkie części ciała do prawidłowego funkcjonowania i do tego, by służyły mu dobrze przez długie lata.

Chcemy traktować małego człowieka jak zwierzątko, które ma nam służyć do zabawy, które ma być potulne, posłuszne, ładnie ubrane, nie wymagające za wiele, nie sprzeciwiające się naszym poleceniom, bo nie lubimy kłopotów. Wizja przyszłej szkoły jawi mi się zatem jako ogród zoologiczny, w którym w zamkniętych klatkach siedzą smutne zwierzątka. Jeżeli chcemy z małego człowieka zrobić dużego, zdrowego obywatela, nie wolno nam zapominać o tym, że warunkiem prawidłowego rozwoju psychofizycznego jest jak najdłuższe przebywanie na świeżym powietrzu, a nie siedzenie w dusznych i małych salkach lekcyjnych, gdzie na przestrzeni około 10 m kwadr. trzeba umieścić przeciętnie 30 małych lub większych ciałek ogromnie ruchliwych, ale które nie mają swobody poruszania się w klasie ze względu na ograniczoną ilość miejsca i na to, że przecież trzeba im do głowy

włoczyć tyle prawd nie zawsze do życia niezbędnie potrzebnych. Chcemy dokonać rewolucji w dziedzinie potrzeb fizjologiczno-psychicznych człowieka, ale zapomina się o tym, że człowiekowi do szczęścia potrzebne jest przede wszystkim zdrowie.

Warto tu napomknąć o bardzo mądrej i głęboko humanistycznej wypowiedzi prof. J. Kozielskiego (Problemy 5/78), który podnosi ważki problem odpowiedzialności pisząc: „Zdobycze nauki można wykorzystać zarówno dla zaspokojenia konstruktywnych potrzeb człowieka, jak i przeciwko niemu. Uczony, który jest współtwórcą takiej siły, ponosi szczególną odpowiedzialność moralną za jej właściwe wykorzystanie (...) Z tego punktu widzenia można jedynie zaakceptować problemy badawcze, które wzbogacają wiedzę ludzką i które służą człowiekowi. Niestety, w procesie wyboru nie zawsze naukowiec stawia sobie pytanie „czy warto”, nie zawsze myśli o wartościach prometejskich. Czasem bardziej zależy mu na awansie, sławie czy pozycji naukowej niż na rzeczywistym rozwoju nauki. Uczony jest odpowiedzialny za głoszone poglądy i teorie naukowe. Uzasadnione jest upowszechnianie jedynie takich idei, które są sprawdzone empirycznie. Aktem odpowiedzialności staje się publiczne wycofanie się z pozycji, które okazały się fałszywe. W historii nauk można znaleźć badaczy, którzy wbrew oczywistym faktom opowiadali się za błędnymi koncepcjami...”

Rozpatrując program dla kl. I—III nowego dziecka polskiej oświaty w zakresie np. j. polskiego doliczymy się kilkudziesięciu celów kształcenia i wychowania. Programy dawniejsze, uwzględniając tę samą prawie liczbę godzin przeznaczoną na realizację programu, wymieniały tych celów tylko kilka. Zadać sobie tu możemy zatem pytanie, który program jest bardziej stresotwórczy, który bardziej uwzględnia możliwości psychofizyczne dziecka (choć na ten temat mówiło się wówczas niewiele i dziecko przychodzące do szkoły miało 7 a nie 6 lat). Aby na postawione wyżej pytanie odpowiedzieć, wystarczy przecież polecić milusińskiemu wykonanie pięciu prostych czynności, a potem liczbę tę podnieść do kilkudziesięciu i zobaczyć, czy będzie on w stanie je poprawnie wykonać.

Jeszcze o jednej rzeczy trzeba pamiętać. Sama szkoła nie jest w stanie wychować obywatela zgodnie z potrzebami państwa. Wiedzano o tym jeszcze w Oświeceniu, kiedy apelowano do „rządzących państw świata, aby ułatwiali małżeństwa, gdyż każda rodzina w zgodzie i jedności żyjąca jest szkołą dobrych obywateli jest jednocześnie gwarancją powściągniętej szczęśliwości i bezpieczeństwa tronu”. Udowodniano też niezbicie, że „fałszywe to z gruntu mniemanie, aby lepiej kraj mógł zastąpić wychowanie, które mądra natura zasadza na uprzejmości rodziców”. Znamy ten problem współcześnie obserwując wychowanie w domu dziecka i chorobę sierocą, na którą lekarstwem ma być rodzina zastępcza.

Naszym nadrzędnym celem jest hasło „Żeby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”. Sprawić to może wychowanie dziecka przede wszystkim przez rodzinę, której szkoła może tylko w tym pomagać.

Maria Barcentewicz

W 14 numerze „Kameny” ukazał się artykuł Henryka Pajaka „Poezja walcząca” zawierający krytyczne uwagi pod adresem 5 z br. numeru miesięcznika „Poezja”, gdzie zostało wyrażonych wiele ujemnych opinii pod adresem najbardziej znanych poetów współczesnych. Jako drugi na ten temat zamieszczamy artykuł Piotra Szewca zajmujący się wyłącznie uwagami wypowiedzianymi w „Poezji” o twórczości Mirona Białoszewskiego.

WOLNA TRYBUNA

Nie tak z Białoszewskim

ANDRZEJ Lam w publikacji „Rzyko pamfletu” („Poezja” 5,78) pisze m. in. „... pamflet musi być jadowity. I zarazem jednostronny...” Właśnie, niechże jednak będzie to pamflet rzetelny, pozbawiony bezpodstawnych zarzutów i insynuacji, wzmacniających jego kąśliwość, a w istocie stawiających jego autora w dość niemiłej sytuacji. Taki tylko bowiem pamflet może należycie spełnić swoje zadanie.

Przykładem sporych braków w znajomości, zagadnienia, a zarazem wysuwanie nieprzemysłanych wniosków, może posłużyć artykuł Andrzeja Zieniewicza zamieszczony w jubileuszowym wydaniu „Poezji”, zatytułowany „Pamflet na lustro”. Aż dziw, że w tegorocznym 26 numerze „Życia Literackiego” został oceniony jako „rzecz celna, żarliwa i gruntowna zarazem”.

Przejdźmy jednak do meritum sprawy. Jako obiekt swojego ataku autor

obięra dorobek pisarski Mirona Białoszewskiego, poety i prozaika, debiutującego w roku 1956 tomikiem „Obroty rzeczy”. Na pierwszy ogień Zieniewicz wziął wszelkie porównania retoryczne i zmiany dostrzeżone w psychice, adresowane przez krytykę do Białoszewskiego i uzbrajając go w zdolność wywoływania duchów, jako przyszły fach obrał mu stomatologię — a to sądząc po tytule wiersza „Sztuczne zęby”, opublikowanego w jednym z wiosennych numerów „Literatury”. Oprócz przypisanej mu niedawno schizofazji (notabene również w tegorocznym „Poezji”), którą starano się udowodnić po nie najlepszej zresztą analizie wiersza „Taniec na błędach ubezdziwionych”, mamy stomatologię. Doprawdy, fakt ten można uznać co najmniej jako niesmaczny żart. Następnie autor przytacza dużą garść opisów analitycznych odnośnie pisarstwa Białoszewskiego, ogłoszonych w różnych czasopiśmie. Zieniewicz zarzuca nieustannie przypisywanie nowatorstwa językowi Białoszewskiego pisząc „Ona właśnie — mowa ślamazarna i „codziennosc, potoczność” (...), staje się

surowcem poddanym interpretacyjnej obróbce, funkcjonuje jako „znaczące”, do którego należy odnaleźć „znaczone”. I też się je odnajduje, na różne sposoby, nieodmiennie jednak prowadząc do odkrywczego wniosku: tego jeszcze nie było”. Zieniewicz zapomina, że literaturę lingwistyczną w pierwszym rzędzie rozpatrujemy na płaszczyźnie zapisu, słowa, interpretacji treści dokonując zaś po analizie formy. Stąd też pełne zachwyty pienia krytyki, z odnalezienia mnogości kontekstów w retoryce tkwiącej w ludzkiej, w gminie. Dalej Zieniewicz zarzuca Białoszewskiemu: „Mam głębokie przekonanie, że dla większości jego egzegetów Białoszewski jest „pusty”, nie niesie żadnych przesłań poznawczych, ideowych, moralistycznych...” Owszem, można te słowa przyjąć, szczególnie, jeśli się nie zna „Pamiętnika z powstania warszawskiego”, bądź niektórych utworów poetyckich, jak chociażby epigramu zaczynającego się od słów „Ma się być świadectwem epoki...” z tomiku „Było i było”. Obydwa te utwory spełniają walory poznawcze i ideowe a przesłań moralistycznych nie brak. Ale Zieniewicz tego nie zauważa. Idąc za rozumowaniem Zieniewicza również np. Grochowiaka moglibyśmy uznać podobnie „pustym”, zwłaszcza po przeczytaniu pamfletu Roberta Stillera „Polszczyzna pogwałcona u Grochowiaka”. W publikacji Andrzeja Zieniewicza uwagę zwraca spostrzeżenie o grze w całościowości, jaką ostatnio prowadził Białoszewski, nawet jeśli nie zostanie obwołany polskim Joyce'em.

Tak w ogólnym zarysie wygląda garść moich uwag, jakie nasunęły mi się po lekturze „Pamfletu na lustro” Zieniewicza.

Osobiście uważam, że pamflet może być zjawiskiem bardzo cennym, oddającym duże usługi literaturze, szczególnie jeśli jest napisany z sercem i rozważa.

Piotr Szewc

Marek Lubiński

KOBIETA

najpierw wyszła za mąż
potem do miasta po kilogram
szczęścia
ale ten artykuł
już dawno wyszedł
albo nie dowieźli go
z niebieskiej hurtowni
wróciła do domu
wzięła nieszczęście
zaniósła do pralni
nie chcieli przyjąć
zaniósła się płaczem



Rys. F. Maśluszczak

Listy do Gerwazego

SYPIE się kurz metafor, zdank, bonmotów mających wykażać salety stylu, trwa „dopiero teraz” szczerze rozliczenie z „najgłębszym sobą”, kryguje się kłamstwo pióra omijające przykrą prawdę, jak nieświeży, ale przebiegły tancerz omija jeszcze nie opanowane pas. „Widzisz czytelniku, że odsłaniam się z najzłabszej strony, nie możesz mi nie wierzyć. Jestem nagi, jestem zobojętniały na powodzenie, nawet na twoją solidarność. Ale nareszcie muszę. To jest silniejsze ode mnie. Jest moim oczyszczeniem”.

Ile się nazywałem pisarskich „spowiedzi”? Tych kłamstw uszytych tym solidnie, że z pozorną determinacją wyjawienia („niech się w końcu dzieje co chce”) ostatecznej prawdy. Czy autorzy sami się oklamują? Najszczerzej im tego życzę. Byliby przynajmniej subiektywnie w porządku.

Pisarz prowadzi rozmowę z czytelnikiem. Nie ufajmy zanadto tej formule. Bo prowadzi, ale tak, by konstatacje padały po jego myśli. Jeżeli adiunkt zaprosi asystenta na herbatę, ten drugi może wpaść w euforię z racji zrównania stanowisk, ale rozmowa będzie określona stanowiskiem adiunkta. Inaczej nie będzie przebiegała w atmosferze „a jakiego jesteście zdania, kolego”. Pisarz serwuje, pisarz rzuca pierwszą piłkę. Nie potrzeba dodawać, że nie w miejsce dla siebie przegrane. Oczywiście, czytelnik może mieć własne zdanie o autorze. Najkrytyczniejsze. Ale to już będzie poza „rozmową”.

Roman Bratny napisał „Pamiętnik moich książek”. Pod pozorem autentycznych danych towarzyszących procesowi powstawania jego tekstów uraczył nas porcją wymyślnych sklerotycznych pod adresem kolegów po piórze i jeszcze większą porcją farby mającej wybielić postać Romana Bratnego. Jest to zrobione sprytnie. Jak sama smoła dla innych, tak sama biel cynkowa dla siebie byłaby nieprzekonująca, należało zatem zastosować umiejętne dawkowanie. Więc Bratny „nieleżno ze sformułowań swej pracy” (na temat „Treści klasowe pilsudczyzny”) nazwie „szczeniacką hucpą” (str. 71), swojej publicystyce przypisze „kaprawe oko” (str. 82), swoją ekspiację „za poezję skąpaną drobnomieszczaniskim anachronizmem” nazwie znów „szczeniacką” (str. 121) i w ten sposób upiekł trzy pieczenie przy jednym ogniu. Ma rozwiązane ręce, jeśli chodzi o przerzucenie odpowiedzialności za dogmatyzm przyszczatych na Wiktorę Woroszyńskiego i Grzegorza Lasotę, zyskuje „moralne prawo” wobec faktu, że „nie oszczędza” samego siebie, jest w dodatku „jedynym sprawiedliwym”, bo tylko on zdobył się na akt samokrytyki. Wtedy już wobec innych przyszczatych może pozwolić sobie na całego. A więc: „z ich anhellicznej wersji stalinizmu śmiały się sam Wielki” (str. 83), „ta przyszczata dogmatyzująca

kohercja” (str. 83) „grono przyszczatych orłów” (str. 122), „zaczął się przerzacać wysięg moich „przyszczatych” do odjeżdżającego pociągu „demokratyzacji” (str. 128 — o wydarzeniach roku 1966). (Nawiasem: językowy kiks, bo ten pociąg właśnie przyjechał) Nie oszczędza Bratny również ludzi spoza rówieśnego sobie grona. Opisując scenę, która się rozegrała w gabinecie pewnej wysoko postawionej osoby, powiada o sobie, że swoje przemówienie rozpoczął od udzielenia tejże „paru ojcowskich rad”. Nie wiemy, jak to było ze stylizacją tych rad, może była całkiem metaforyczna, co by ich udzielałemu ochraniało otoczką niedoświadczenia, ale za to ktoś inny wykazał wtedy całkowity brak opanowania nerwowego: „Z kolan



Roman Bratny

Rys. Kazimiera Paluchniak

siedzącego obok towarzysza Stefana Zółkiewskiego z hukiem spada jakaś książka, zdawało mi się nawet, że słyszę świst opadających z niego ze świętym strachem spodni” (str. 123). Niezależnie od psychologicznej strony opisanego wydarzenia pozostaje wątpliwość związana z jej stroną techniczną: jak z kogoś siedzącego na krześle mogą spaść spodnie i to ze świstem? Bratny przygwałci nawet najoczywistsze realia, byle napiąć zdanie na „dynamiczną” stylizację.

Oczywiście — zawsze ten prostoliniowy, ten ufny, ten nie zbaczający z drogi. Kiedy chodziło mu o powrót z Francji do kraju, a ambasada „rządu lubelskiego” nic w tej sprawie nie robiła, zagroził, że skorzysta z przerzutów siatki andersowskiej. Czy Bratny nie uważa, że czytelnik ma prawo do przyjęcia tego — jak to się najłagodniej mówi — cum grano salis? Czy do tego stopnia czytelników ma za naiwnych, że owego granum im nie przypisuje? Ale ubezpieczył się dobrze. Świadkiem może być tylko „adiutant ówczesnego zastępcy szefa GZP WP”. Adiutant zastępcy.

Jednym z majstersztyków sofisterei mającej na celu wyciągnięcie profitów z wszelkich okoliczności jest passus z pracą w redakcji „Pokolenia” (str. 32).

Przypomina się Tuwima: „Straż szczególna do wody, a wypłynię z rybą w zębach”. Mówi Bratny, że lokal redakcyjny był tak mało zabezpieczony przed ewentualnymi zakusami reakcji, że owa reakcja mogła go „zatluc nogą od krzesła”. Jest to obliczone na dwa fronty. Pod adresem „czynników oficjalnych” (trzymajmy się terminologii Bratnego): Widzicie, reakcja mogła mnie zatluc nogą o krzesła, a mimo to wlewnie trwałem przy ustroju. Pod adresem przeciwników ustroju: No przecież nie mogłem być tak gorliwym służką reżimu, skoro ten reżim tak mało o mnie dbał. A jeszcze powstaje dodatkowa korzyść w postaci wymalowania opinii o osobie jako kimś, kto do tego stopnia przejęty jest słuszością celu, że w działaniu nie zwraca uwagi na grożące mu niebezpieczeństwo. Brawo, zrobiono dobrze. Jak wszystko Romana Bratnego, co ma Romana Bratnego postawić w korzystnym świetle.

Bo jeśli były jakieś przytyczki z przyszczatymi, czy z redakcjami, to były to tylko przytyczki, a nie batalie, ponieważ chodziło co najwyżej o ustalenie sąsiedztwa interesów w przyjętym systemie, więc Bratny robiąc z siebie mecenasa sprawy rozmija się z prawdą. Rozmija się z prawdą i wtedy, kiedy ta „sprawa” jest zadośćuczynienie jego apetytowi na ilość publikacji. Pisze: „Obowiązywał zakaz drukowania moich utworów (któż by się zresztą ważył je drukować i bez takiego zakazu), nie było też, rzecz jasna, miejsca dla mnie w „Nowej Kulturze” (str. 89). Tu czytelnik ma prawo do znaku krzyża świętego na piersiach. Jak to? Czy nie ma już roczników pism? Zglądajmy do „Nowej Kultury”. W pierwszym — 1950 — roku wychodzenia tego tygodnika Bratny zamieścił 7 wierszy, i 2 artykuły, w drugim — 6 felietonów, 3 reportaży i 1 wiersz, w trzecim — 11 pozycji. Osobliwa nadzieja na krótką pamięć u czytelnika.

Jeszcze jednej rzeczy Bratny nie zauważa. W odgrywaniu niewiniątka krzywdzonego najpierw przez schematyzm, później przez biurokrację w praktyce kulturalnej sam się demaskuje. Mówi np. o swoim filmie „Życie raz jeszcze”. O kłopotach z dokrętkami i z koportażem. Kończy: „Dokręcony, wysłany nawet na któryś z festiwali filmowych. Gorąco komentowany. W kraju pokazany przez parę dni w Warszawie. W obliczu kolejek (...) film nagle zniknął. Nawet dysponując swoimi „dośćciami” nigdy nie doszedłem kto i gdzie wydał w tej materii zarządzenia”. A więc film został wysłany na festiwal, w kraju cieszył się dużym zainteresowaniem, Bratny miał „dośćcia” — i to wszystko świadczy o dyskryminacji. Tak samo o dyskryminacji świadczy, że film „Trzech w linii prostej” (w reżyserii Hübnera) został wyświetlony w II, a nie w I programie TV (str. 217). W otóle kto w Polsce uwierzy, że Roman Bratny, autor tyłu powieści, opowiadań, reportaży, felietonów i sztuk scenicznych (fronwiel tych z „Biblioteki Teatralnej CRZZ” rekordowo lakierowniczych i schematycznych) jest w Polsce trzymany pod korcem? Na tyle, że musi się poskrzywić pisząc „Pamiętnik moich książek? I paszkwił na książki innych?

Protazy

Roman Bratny: „Pamiętnik moich książek”, Czytelnik, 1978, str. 218, cena 30 zł.

MARGINAŁKI

DOM KAROLA SZYMANOWSKIEGO

Każdy z nas miał w dzieciństwie dom. Nieważne, na wsi czy w mieście, biedny czy bogaty, duży czy mały. W naszych wspomnieniach jest to najplekniejszy dom na świecie. Jedyny. Niezapomniany. Obrosnięty legendą. Choćby tylko naszą, prywatną. Nawet i nieprawdziwą...

Ale bywają legendy prawdziwe. Bywają domy, które w jakiś sposób stają się wspólnym dobrem nas wszystkich. Tak było z domem rodzinnym Karola Szymanowskiego, tylekroć opisywaną (choćby przez Iwaszkiewicza) Tymoszkówką. Bardzo dawno temu, w przedhistorycznym roku 1935, ukazała się o tym domu książeczka. Dobrze, że pomyślano o jej odnowieniu (Zofia Szymanowska „Opowieść o naszym domu” Polskie Wydawn. Muzyczne 1978).

Jest to pełna uroku (i smutku) gawęda o wszystkim, co kojarzy się ze słowem „dom”. Nie tylko o budynkach, o meblach i obrazach, nie tylko o drzewach i kwiatkach. Także o rodzicach, o

rodzeństwie. O domownikach w bardzo szerokim pojęciu: ciocie-rezydentki, bony i nianki, nocny stróż, ogrodnik, a wreszcie ukochane zwierzęta: psy i konie, ba! nawet duchy...

Ta opowieść o nieistniejącym domu z zaprzeczonych, tak dziś dla nas nierzeczywistych czasów, ma w sobie coś z baśni i z legendy. Jest w niej coś z Chełmońskiego i Juliusza Kossaka, z Brandta, ale i z Grotgera. Z Sienkiewicza, Łozińskiego, z Wańkowicza... A także i coś z „Lekcji martwego języka” Andrzeja Kuśniewicza. Bo przecież w jego książce płoną właśnie takie domy. Ginie w niej świat: nieistniejący już, legendarny świat polskich Kresów.

LEGENDY I PLOTKI

Czytelnicy powieści Roberta Gravesa o Belizariuszu pamiętają zapewne pikantne historyjki o pięknej Antoninie i jej przyjacielce Teodorze, cesarzowej Bizancjum, żonie sprawiedliwego Justyniana. Autor książki czerpał je (dodawszy coś niecoś od siebie) z „Historii sekretniej” Prokopiusza z Cezarei. Te kronikę skandaliczną wydano u nas niedawno po raz drugi (PIW 1977). Książeczka raczej nie dla młodzieży. Jest to coś w stylu Brantome'a czy Aretina, tyle że dzieje się w starożytności.

Czytając, zadawałem sobie pytanie: jakby też wyglądało życie cesarzowej Teodory czy pani Antoniny Belizariuszowej, gdyby któraś z nich opisała je sama? Czy byłoby tak urocze i niewinne jak żywot pani Elżbiety Vigée-Lebrun, sławnej francuskiej malarki, opisany przez nią samą („Wspomnienia” Czytelnik 1977)? Może, bo przecież wielu formuje ze swego życia legendy ad usum Delphini.

Wrodzona (czy też nabyta wśród bliźnich) przekora nasuwa mi drugie pytanie: jaki byłby żywot pani Lebrun napisany przez kogoś tak złośliwego jak Prokopiusz? Myślę, że nieco inny niż w proponowanej przez nią wersji, jako że legendy zastąpiłyby plotki (z pewnością zresztą niecie i całkowicie zmyślone — n'est-ce pas, Madame?).

Błażej

ERRATUM:

W moim felietonie w nrze 14 „Kamery” pan zecer zamienił słowo „pyszni się” na: „przyśni się”. Może tak jest i lepiej? Bo jeśli się komu i przyśni lirowczyk, to kosztuje zysk, chyba, że ktoś woli śnić o komitach...

C.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

● Od pewnego czasu w piórnictwie nasze prowincjonalne wkładało się nieczym wylinaczycie się nie dając karsztwo, grabież popełniana bez pardonu jest na porządku dziennym. Przedrukować artykuł dany w całości, nie zmieniając nawet form jego i nie zacytowawszy źródła, skąd zaczerpnięty został, jest rzeczą tak zwyczajną i nie nie znaczącą, że przedstawiany się nawet temu dziwić. Pomimo tego jednak wobec coraz bardziej rozwijającego się karsztwa zmuszeni jesteśmy zwrócić uwagę na okoliczność, że prawa autorskie są u nas nie tylko znane, lecz nadto i sądowo dochodzone, ołów rozdzielony o wym pomom karsztom, ażeby tej niebezpiecznej zabawy strojenia się w cudze piórka nadal zaniechać zaczęli.

● Fabszywy wstyd jakiej nie dozwala, pomiędzy innymi naszym lekarzom, aby idąc śladem zagranicznych i warszawskich kolegów na bramach zamieszkiwanych przez nich domów zamieszkałych dla ułatwienia osobom zainteresowanym możliwością szybkiego dojścia do celu. Niejednokrotnie też z tego powodu dochodziły nas skargi ze strony właścicieli osób przyjeżdżających i z miejscowości grodu naszego nieobebranych, którzy byli w potrzebie uciekania się do pomocy lekarskiej.

„Gazeta Lubelska”

PRZED 30 LATY

● Jedną z najbardziej przedziwujących Lublin bołaczka letnią porą jest nieskrapianie chodników i jezdnia woda. Poza Krakowskim Przedmieściem, gdzie od czasu do czasu przesunie się bezka z wodą, czy stróż z sikawką, nie myśli się o tym jakby to uwoleń mieszkańców od wchłaniania milionów najroznorodniejszych wrogów zdrowia ludzkiego unoszących się w powietrzu z pyłem i kurzem.

● Niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę Magistratu na ten temat. Niestety, jest on nieczuły na te wołania. Zwracaliśmy również uwagę na jedne miejsce spaceru w Lublinie przy Al. Racławickiej i ogród Saski. Na Al. Racławickiej dotąd nie zrobiono nic, zaś w Ogrodzie Saskim podlewano alei dokonane jest za pomocą kołnej łaski. Sposób ten jest stanowczo zły, gdyż koń wyrzyna podkwa ziemię, która w 5 minut po podaniu rozdeptana przez spacerowiczów zmienia się w pył. Dziwnie, a nawet śmiesznie wyglądał beczki na Krakowskim Przedm. popychane siłą ludzką.

● W związku z uporządkowaniem stonków przy mlynie Mitelmana na Czekówce władze państwowe, mając na uwadze interes ludności przedmieścia Czekówka, przedsięwzięły kroki celem wybudowania w miejscu, gdzie istniał most drewniany, mostu murowanego. Równocześnie załatwiano też sprawę praw właścicieli mlyna do pietzenia wody i uporządkowania ścieków miejskich w tej dzielnicy.

W sprawie tak ważnej dla miasta nastąpił moment przełomowy. Obecnie trzeba, żeby Magistrat tak jak i władze państwowe zajęły się sprawą stanu.

„Ziemia Lubelska”

● Bliższe zapoznanie się z tajemnicami naszej stolicy wojewódzkiej musi na każdym przyjeźdźcy wywarzyć nie mniej niż do porządków warszawskich, ale takich sobie, ludzkich — wywzryć wrażenie jak najfatalniejsze. Poroznie Lublin robi wrozenie miasta okazywało. Niestety, jednak tylko z daleka. Półbrzoźna przechadzka chociażby krajomawca po brukach i chodnikach lubelskich może najmocniejszego przytębiła zabytków odawczale od tej miłej rozrywki raz na zawsze. Gdzie i kto w statystycznym przeszło mieście wojewódzkim, bardzo urozemysłowanym i ruchliwym, widział tego rodzaju bruki? Chodniki miejskie w Lublinie są po prostu nierozwój, z wyjątkiem kilku gmachów rzadowych i prywatnych, których właściciele mogą sobie pozwolić na luksus polotenia do brach płyt cementowych.

● Nie inaczej przedstawia się sprawa z kanalizacją. Rurociągi leżą w ziemi bezczynnie, a kanały miejskie jak cuchnęły, tak cuchną rozwiewając w około trujące zarzaki chorób.

● Ale cóż, miasto nie ma pieniędzy na poprawienie swolego stanu sanitarnego. Są pieniądze na różne inne rzeczy a nie na najżywniejsze potrzeby.

● Wzrosła w godzinach poniedziałkowych przeczagał nad Lublinem straszny huragan, który miasto wyrwał szereż szkód, szczególnie w zadrzewieniu. Najnowszą ofiarą ucierpiał Al. Racławickie, huragan był tak potężny, że w jednej chwili nadto 5 albrzmów — toni. Pod ciężarem watachych się drzew leża kilka słupów telefonicznych. Linia telefoniczna Lublin — Warszawa została przeczyna tak również ruch kolowy w kierunku Warszawy. Odinek Al. Racławickich przedstawia okropny widok zrujnowania.

„Gos Lubelski”

Wybrała: Anna Orzechowska

KRONIKA KULTURALNA

● Cztery już rok Ministerstwo Kultury i Sztuki organizuje konkursy na najlepsze prace studialne, naukowe i popularyzatorskie dotyczące ochrony zabytków i muzealnictwa — adresowane w zasa dzie do młodszych pracowników przedsięwzięci, służb konserwatorskich, wydawnictw etc. Z satysfakcją informujemy, że nagrodę I stopnia w dziedzinie prac naukowo-badawczych otrzymał niedawno zespół lubelskich PKZ pod kierunkiem mgr. Karola Majewskiego: za studium historyczno-urbanistyczne do planu rewitalizacji Zamościa. Przypominamy, że piętnaście lat temu K. Majewski opublikował ciekawą pracę na temat ikonografii kamienia Przybyłowskich w Kazimierzu Dolnym.

● Dyrektor Muzeum Okręgowego w Lublinie, Alfred Gauda, o restauracji fresków w kaplicy św. Trójcy na Zamku: „nie ma co się ludzić, że prace konserwatorskie będą ukończone wcześniej, niż za 4-5 lat. Mamy do czynienia ze zbyt cennym zabytkiem i przysporzył on dotąd zbyt wielu zmartwień by teraz, gdy sprawy układają się dobrze, pozwolić sobie na nierozważny pospiech”. Przypominamy, że wybitni specjaliści kręcą się koło malowideł już kilkadziesiąt (!) lat, raczej bezskutecznie.

● Na przełomie lipca i sierpnia odbyło się w Kluczkowicach spotkanie artystów — malarzy, zatytułowane „Meta fora 78”. Muzeum lubelskie próbuje bowiem gromadzić

twórczość o charakterze metaforycznym, nadrealistycznym, idąc drogą szeroko już wytyczoną przez Muzeum Narodowe we Wrocławiu — potęgata w tej dziedzinie.

● W poprzednim numerze „Kamena” informowaliśmy o wystawie poplenerowej w Kraśniku, cytując zarazem dobre słowa, w które obtoczył imprezę jej komisarz. Niedawno zobaczyliśmy ekspozycję na oczy własne i nie możemy, niestety, zgodzić się z opinią owego malarza. Czekałmy też z niecierpliwością, jaki bieg nada plenerowi w Kazimierzu jego nowy komisarz — Andrzej Mroczek, szef galerii „Labirynt”, którą wyprowadzono ze staromiejskich podziemi, abyśmy nie rozczulali się nadmiernie nad tradycją, albo co?

● Przy Domu Kultury w Janowie Podlaskim działają m. in. Sekcja Literacko-Poetycka oraz Koło Miłośników Sztuki Ludowej i Twórców Amatorów, liczące w sumie 16 osób. Są wśród nich nauczyciele, pracownicy fizyczni, emeryci, rolnicy, jest portier spółdzielni „Jedność”, układający fraszki. Dość przy tym ciekawe, że inicjatorem owego Koła był I sekretarz KG PZPR, Marian Kublik, uprawiający malarstwo olejne.

● Dobrze mieć poczucie rytmu. Zespół pieśni i tańca „Głusk” (od nazwy podlubielskiej miejscowości, gdzie swego czasu podawano znakomitą poledwicę w śmietanie wyjechał do Danii, aby poza wyściami na cele charytatywne i po prostu serdeczne — w

szpitalach, domach starców, sierocińcach — zaprezentować się w kopenhaskim festiwalu młodzieżowym, w którym weźmie udział ok. 40 amatorskich zespołów folklorystycznych z różnych krajów i kontynentów. Później tancerze „Głuska” wywiną sporo kawalców na Węgrzech i w Czechołowacji, m. in. w ramach światowej wystawy żywnościowej „Ziemia żywiciela” (w Budziejowicach).

● Zbigniew W. Fronczek, autor opublikowanej właśnie przez Wyd. Lubelskie książki pt. „Tam, skąd pociągi odchodzi rzadko a może wcale”, o sobie samym: „Urodziłem się po wojnie. Uczyłem się dobrze, ale czasami dostawałem dwóję. Z rówieśnikami rozkręcałem niewypały. Marzyliśmy o czynach, które przyciemniłyby wojenne dokonania ojców. Jako dorastający młodzian uratowałem topiącą się dziewczynę. Tak mogłaby się zaczynać niejedna powieść, w finale której poślubiłbym wyratowaną. Niedawno natknąłem się w prasie na jej zdjęcie. Jest poszukiwana oszustką.” No, nareszcie jeden z młodszych autorów ujawnił trochę zdrowego dystansu do siebie samego i swojej misji!

● „Pierwsze dni wolności w Lublinie w fotografii radzieckiego korespondenta wojennego Trachmana” — pod takim tytułem otwarto w lipcu w Klubie MPiK przy Krajkowskim Przedmieściu wystawę zdjęć, które złożyły się niegdyś na interesujący, miejscami radosny to znów wstrząsający album dokumentów fotograficznych. Warto przy tej okazji przypomnieć, że w listopadzie 1944 roku inny artysta — kronikarz radziecki, Zinowij Tołkaczew, ekspozował w Muzeum Lubelskim cykl rysunków pt. „Majdanek”.

AKRAN IWIGIZ

Rzecz o neokolonializmie

Od kilku lat oczy filmowego świata skierowane są na Afrykę. Wprawdzie tamtejsze młode kinematografie nie zdołały dotąd w pełni zadośćuczynić oczekiwaniom i artystycznym nadziejom, jakich pokładano, ale przecież nawet te nieletnie filmy, dochodzące na nasze ekrany, świadczą o postępowych tendencjach odciskających się na młodym przemyśle filmowym, a problemach nurtujących twórców i reżyserów. Tym bardziej warto obejrzeć grany u nas ostatnio tunezyjsko-hollenderski film „Słońce hien” w reżyserii młodego tunezyjskiego reżysera, Ridha Behi'ego.

Wyprodukowany przed rokiem, zdobył wkrótce jedną z nagród na festiwalu filmowym w Mannheim, wzbudził sensację na festiwalu moskiewskim (gdzie prezentowany był poza konkursem), z wielkim zainteresowaniem został przyjęty przez publiczność naszych tegorocznych Konfrontacji. Skąd owe zainteresowanie filmem reżysera debiutującego właśnie w „fabule”, nie pozbawionym zresztą szeregu potknięć warsztatowych nie zawsze najbardziej szczęśliwych chwytów formalnych — jak choćby irytujące nadużywanie szerokokatnych obiektów do skróconej, ogniskowej? Rzecz chyba przede wszystkim w ostrości spojrzenia na to, co się dzisiaj dzieje w niejednym młodym kraju afrykańskim, w podjęciu niekonwencjonalnego, odkrywczego a także zarazem istotnego dla tamtejszej rzeczywistości — tematu.

Problem neokolonializmu, wynikające stąd problemy społeczne, moralne, obyczajowe miejscowej ludności, wreszcie — zwrócenie uwagi na związane częstokroć z tym wszystkim zachwianie równowagi ekologicznej... W prościutkiej historii o przemianach, jakie dokonują się w małej, nadmorskiej wiosce tunezyjskiej z chwilą rozpoczęcia tutaj przez zachodniemieckie przedsiębiorstwo turystyczno-re-



Rybak Tahar i kowal Lamine — bohaterowie „Słońca hien”.

kreacyjne budowy wielkiego hotelu — Ridha Behi wykazuje w sposób prosty i oczywisty, niejako punkt po punkcie, wszystkie wątpliwe aktywa i wszystkie niewątpliwe pasywa bezkrytycznej „współpracy” niektórych państw rozwijających się z wielkoprzemysłowym kapitałem zachodnim.

Pierwsze, beztrudne sceny życia wioski — nie wolnej wszakże od konfliktów społecznych (większość rybaków jest wyzyskiwana przez miejscowego bogacza, posiadacza flotylli łodzi rybackich) mać fakt urodzenia przez młodą małżonkę martwego dziecka. Także i matka umiera po porodzie... To jakby zapowiedź ponurego fatum, jakie zawisło nad wsią... Wkrótce na piaszczystą plażę wysiada z łodzi przybyli z morza płowowłosi konkwistadorzy rozdający wokół szeszoł... uśmiechy i paplery. Zacznie się kolejny — choć bezkrwawy i zrazu niezauważalny — podbój „nowych ziem”. Oto na rozległe piaszczyste wydmy, wśród których jeszcze tak niedawno igrały dzieci i snuli się zakochani, wkraczają gromkie zastępy traktorów i sychaczy. Oto rybacy porzucają morze stając się niewykwalifikowanymi robotnikami tłukącymi kamienie przy budowie szosy. Nikt nie je świeżych ryb, bo łatwiej o puszkowe sardynki — do nabycia w każdej budowlanej kaptynie... Korupcja, wyzysk, sprzedajność święcą swoje triumfy. Istniały i przedtem, ale teraz, trafiawszy na odpowiednią pożywkę i atmosferę, rozwijają się dopiero do groźnych rozmiarów. A wszystko to dzieje się pod płaszczykiem „troski” o rozwój ekonomiczny i cywilizacyjny regionu. Kiedy staje wreszcie wspaniały hotel, a plaże zapełniają się tłumem obcojęzycznych, przybyłych z północy letników, widać wyraźnie, że wies została zepchnięta na jeszcze większy margines niż ten, na jakim dotychczas egzystowała. Dumni niegdyś rybacy posłali córki do pracy w turystycznej manufakturze i nawet ogólnie szanowany obywatel wioski, Lamine, kowal-artysta, zmuszony jest do założenia sklepiku z pamiątkami dla turystów. Cóż z tego, że mieszkańcy mogą sobie dzisiaj pozwolić na radia tranzystorowe Stracili za to swoje ja, stali się we własnym kraju obywatelami drugiej kategorii. Swoją smutną, czy może raczej — tragiczną opowieść wpisuje Ridha Behi z konsekwencją w malowniczo, wspaniały nadmorski pejzaż Tunezji, co jeszcze przydałe „Słońcu hien” dramatyzmu... Zostawia przecież swym bohaterom iskrę nadziei: bunt rybaków, niezłomna postawa młodego Tahara każą wierzyć, że choć w jednym miejscu batalia wypadła na niekorzyść mieszkańców to gdzie indziej przybyszą z morza nie pójdzie już tak łatwo...

„Wspaniały pamflet społeczny” — pisał o „Słońcu hien” jeden z zachodniemieckich krytyków filmowych. Jakby nie dostrzegł, że to przede wszystkim pamflet na neokolonializm? W tym również — zachodniemieckim!

Prosta, czasem zbyt prosta dramaturgia i takaż narracja, pewne uproszczenia psychologiczne mogą stanowić jakis zgrzyt w percepcji „Słońca hien” przez widza wyrobionego, obytego ze sztuką filmową. Ale pamiętajmy, że mamy do czynienia z reżyserem młodym, z młodą i borykającą się z poważnymi trudnościami kinematografią i wreszcie — że „Słońce hien” ma być w równej mierze filmem dla nas jak i dla... mieszkańców małych rybackich wiosek nad brzegami afrykańskich mórz i oceanów.

Mirosław Derecki

KALEJDOSKOP

Kaczka nie miś

„Sztandar Ludu” nr 160 zamieszcza taką oto informację zatytułowaną „Otyłość nie sprzyja miłośni...”: „Dwa misie panda,



Chia-chia — panda wielka w londyńskim zoo

przywlezione z Chin do USA przed kilku laty, nie doczekały się do tej pory potomstwa. Fakt ten niepokoi opiekunów misiej pary, więc udali się do specjalistów. Orzeczenie kinsyllum, które przeprowadziło obserwacje i kontrole lekarskie obu misiów, jest jednoznaczne: niedźwiedzi muszą schudnąć co najmniej o 25 kg.

Zarówno bowiem Ling-Ling jak jej partner Singh-Singh są wskutek nadmiernej tuszy zbyt leniwi do amorów” itd. Wiadomość byłaby nawet dość sympatyczna, gdyby nie to, że jest zwyczajną „kaczką dziennikarską”. Zoologom i lekarzom-specjalistom wiadomo, że panda wielka (o taką tu chodzi) nie rozmnaża się w niewoli. Jedyny przypadek uzyskania potomstwa i wychowania młodych w warunkach ogrodu zoologicznego miał miejsce w Chinach — rodzinnym kraju panda. Na domiar złego panda wielka (Alliropoda melanoleuca) nie jest wcale, jak to podaje „Sztandar”, misiem czy też niedźwiedziem, tylko szopem z rodziny szopowatych. Na usprawiedliwienie pomyłki można podać tylko jeden argument: panda wielka, biorąc pod uwagę jej wygląd zewnętrzny i zachowanie, jest rzeczywiście bardzo podobna do niedźwiedzia (patrz zdjęcie).

Usłyszeć(?) i napisać

Pokazany artykuł o produkcji Zamojskich Fabryk Mebli zamieszcza Wiestawa Piątek w „Sztandarze Młodych” nr 172. W publikacji aż roi się od błędów. Pięciokrotnie powtórzona jest błędna nazwa wyrobu, pomyłona liczba zakładów wchodzących w skład przedsiębiorstwa, mowa jest o nowych liniach technologicznych importowanych z NRD, podczas gdy w całej fabryce nie ma z NRD nawet jednego młotka. Wymieniono też główne kraje, do których wysyła się zamojskie meble: Szwecja, Austria, RFN i Francja. Tymczasem główni kontrahenci to Szwecja, Holandia, RFN i Belgia. Autorka stwierdza również, iż „kiedy okazało się, że fabryka ma nadwyżki tych zestawów (chodzi o komplety wypoczynkowe — przyp. nasz)... handel wykupił je na specjalnej giełdzie w zakładach na pniu”. Jest to wprowadzenie w błąd opinii publicznej i handlowców, bowiem w rzeczywistości na rzeczonoj giełdzie handel wykupił tylko 11 proc. nadwyżek, a 84 proc. kompletów „Kon-Tiki”, o które głównie

autorec chodziło. Oczywiście tylko część winy ponosi publicystka, natomiast drugą część przypisać zapewne należy temu, kto udzielił jej niezgodnych ze stanem rzeczywistym informacji, bo przecież nie wysłała ich ona z pałca.

Towarzyszyl zbyt wiernie

„Kurier Lubelski” nr 163 zamieszcza w „Telewizorku” rysunek, na którym „Pan Koziołek” wita się z matką. Powitaniu przystąpiła się zycza. Podpis brzmi: „Redaktor naczelny Telewizorka w czasie swej letniej wędrowki spędził dwa niezapomniane dni w Zamościu. Odwiedził szereg atrakcyjnych miejsc w tym mieście. Niezapomniane chwile spędził w zamojskim zoo. Jak zwykle towarzyszył mu wiernie ilustrator jego przysąd — Ludwik Paczyński”. Jesteśmy skłonni uwierzyć, że „Pan Koziołek” rzeczywiście odwiedził zamojskie zoo, jako że tam tam nie brakuje. Jest nawet bardzo rzadki w ogrodach zoologicznych czarny makak azjatycki. Natomiast mamy wątpliwość co do tego, czy towarzyszył mu ilustrator jego przysąd, bowiem żyłby jeszcze się zoo w Zamościu nie dorobiło. A może Ludwik Paczyński pomylił wielbłąda z tym sympatycznym zwierzęciem?

Harmonogramy i zdjęcia

„Sztandar Ludu” nr 160 na ostatniej stronie i „Kurier Lubelski” nr 158 na stronie drugiej zamieszczyły aż po trzy identyczne zdjęcia całowskie, oczywiście z tymi samymi podpisami. Należy dodać, że obie gazety ukazały się tego samego dnia (15 lipca br.). Skoda papierni na druk identycznych zdjęć, tym bardziej, że fotografi całowskich chyba nie brakuje. Ale faktem też jest, że harmonogramy druku obu gazet przypominają czasy sprzed lat stiu, i to nie z winy redakcji.



Rys. Franciszek Maśluszczak



Informacja z myszką

TEATR W LUBLINIE. Kurtyazja sama wymaga tego, abyśmy słow parę poświęcili „przybytkowi sztuki” [...] Dyrekcja p. Grodnickiego winna była w sezonie teatralnym 1921-22 r. rozpocząć nową epokę artystyczną w Lublinie. Niestety! Łacno dała się uwieść niefrasobliwej pogoni za łatwym powodzeniem i mamona.

O ile na początku sezonu starano się zachować pozory przyzwoitości artystycznej, o tyle po Bożym Narodzeniu p. Grodnicki zawiesił na kotku repertuar poważniejszy i poszedł po linii najmniejszego oporu tj. po linii operetki (kieszko granej), tłustej farsy, piskarskiej komedii i amerykańsko-chińskich dramatów itp.

W ten sposób starano się więc postawić teatr na poziomie stołecznym. Posypały się więc sztuczki w rodzaju „Dziwów Salonu”, „Kobiety, która zabiła” itd., przesycając atmosferę pornografią intelektualną i etyczną.

Reżyseruje „sztuki” p. Grodnicki, operetkowy fachowiec, na sposób operetkowy. Jedyna poważniejsza siła, reżyser dramatu i komedii, p. Brokowski dzięki intrygom niemieleni ze sztuką mającym wspólnego wkrótce po rozpoczęciu się sezonu został z teatru usunięty.

Powiesznie powiadają, że Lublin do prawdziwego teatru jeszcze nie dorósł, a że obecnemu p. dyrektorowi łatwiej zniżyć się do poziomu kabotyńskiego niż pociągnąć ku szczytom opornych i nieśmiadomych, przypuszczamy, że o teatrze lubelskim wciół będzie głucho w świecie artystycznym.

Przykro nam bardzo, że musimy mówić tylko o teatrze nie zaś sztukach wystawianych przez ten teatr.

Tempore mutantur ... gorzej jest z Teatrem Lubelskim. „LUCIFER”. MARZEC 1922 R. (Pisownia współczesna — red.)

Władysław Grzeszczyk

MOJE ODKRYCIA

Czasem jest tak wesoło, że aż nie ma się z czego śmiać.

Kto idzie na udry, ten przeważnie sam wraca.

Tylko ten ma zawsze rację, kto przyznaje ją innym.

Bywa, że przerastający o głowę, nie dorasta do ziemi.

Każdy by zawrócił, gdyby wiedział skąd i kiedy.

Co kukulka wykuka, to bocian przynosi.

W zasadzie wszyscy są na to samo kopyto, tylko że każdy z innej nogi.

Niektóry tylko wtedy ma wzięcie, gdy daje.

KRZYŻÓWKA

(nr 16)

Poziomo: 1. uroczysty utwór muzyczny na chór i orkiestrę, 5. nazwisko dwu braci — współczesnych pisarzy polskich, 9. należąca do NRD wyspa na Bałtyku, 10. niedobrze jeśli przekracza podaż, 11. początek wyścigu, 13. nieodczony element silnika spalinowego i parowego, 15. pieśń operowa, 16. strój bohaterów „Straszego Dworu”, 18. barwny w męskim stroju, 20. koneser, wiele wiedzący w jakiejś dziedzinie, 22. droga kolei, 23. dopływ Rodanu, 24. kompozytor polski, który zginął w Tatrach, 25. część nogi, 27. jej śmierć opiewa w jednej z części „Peer Gynta” Griega, 29. bohater „Halki”, 31. głos kobiecy, 32. bije brawo za pieniądze, 33. hinduskie praktyki mistyczne i gimnastyczne, 35. japońska wódka, 36. drugi prezydent Stanów Zjednoczonych, 38. miejsce klaszki Francuzów w 1871 r., 39. urządzenie do prowadzenia prac pod wodą, 40. duże miasto w środkowym Iranie, 41. zamyka i otwiera przjazd dla pociągów.

Pionowo: 1. styk, 2. pasek przy plecaku do przywiązania koca, 3. strój z dzianiny, 4. piłka za boiskiem, 5. dodatkowy numer w programie na żądanie publiczności, 6. siedziba władz miejskich, 7. klub stowarzyszeń twórczych w Lublinie, 8. rosyjski strój ludowy, 10. wielki ogień, 12. zielona na łące, 14. słynny dyrygent amerykański polskiego pochodzenia, 16. splewa w klatce, 17. polski przedwojenny film wg powieści Dolegi-Mostowicza, 19. skrzyżowanie z jazdą w kolo, 21. przeciwieństwo hałasu, 23. polski poeta XIX wieku, autor „Maratonu”, 25. drugie co do wielkości jezioro w Europie, 27. laso, 28. doradca Priama w „Iliadzie”, 30. otwiera drzwi, 31. bogini księżycy, 34. miasto w Etiopii znane z wojny włosko-abisyńskiej, 35. wielka opowieść rodzinna, 37. mara, 38. dodatek do mięsa.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 20-500 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozdajemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 14.

Poziomo: Szymonowie, portyk, Kochanowski, sitnik, wiosło, czako, pastor, sod, re-

1			2		3	4		5	6		7		8
					9								
		10						11				12	
13							14				15		
					16					17			
18	19								20				21
22												23	
					24								
25		26										27	28
29						30				31			
					32								
33			34								35		
					36			37		38			
								39					
40												41	

wers, styk, opał, ziemia, lks, smutki, szata, amfory, nektar, departament, Serbia, Przesmycki.
Pionowo: spia, król, Ryki, Zborowski, orator, wawór, Ficowski, izba, nurt, kwarta, Chelm, agent, przesada, sieja, osika, dostojnik, Raszyn, urok, Kuba, marazm, tracz, eter, tuba, Real.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 14 bony książkowe po 40 zł za każdy wylosowali: Bohdan Bienkowski 20-225 Lublin, Droga Męczenników Majdanka 131, Zofia Tchórzewska 20-217 Lublin, Gospodarcza 29, Jerzy Łopuszyński, 20-404 Lublin, Matejki 3, Bolesław Sasadeusz 22-500 Tomaszów Lub. 1 Maja 24.